I-48411/73 18-04

M. B. im. L. W. w Łodzi

odgłosy
TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok VI. ŁÓDŹ, 6. I. 63 r.
Nr 1 (253) Cena 1 zł

KAROL BADZIAK

# WOŁOWSKIE RIFIFI...

— No więc ostatni akt europeizacji mamy poza sobą. — stwierdził sardonicznie jeden z kolegów po piórze, obecny na procesie „bankowców" z Wołowa, o którym pisała cała polska prasa codzienna.

Rzeczywiście, do bogatego wachlarza przestępstw dokonywanych w kraju nad Wisłą, historia naszej jurysdykcji wpisała zbrojny napad na bank. I bądź co bądź napad, w wyniku którego włamywacze zdołali zrabować ze skarbca bankowego 12,5 miliona złotych. Jest to sumka wcale pokaźna nie tylko w sensie wartości nominalnej. Worki ze skradzionymi banknotami ważyły 130 kg.

Schwytanie przestępców jak i proces wrocławski wzbudziły więc uzasadnione zainteresowanie szczegółami tego sensacyjnego wyczynu.

Sala sądu we Wrocławiu wypełniona była — jak to się pisze — po brzegi. Oczywiście w związku z tym wzrosła także ranga towarzyska pracowników tamtejszego sądu, bowiem na salę można było wejść tylko za pokazaniem karty wstępu.

Podniosły nastrój zbiorowej ekscytacji i majestat wysokiego Sądu Wojewódzkiego wyraźnie jednak kolidował z wyglądem i powiatowymi raczej manierami podsądnych. Cała siódemka wołowskich „eksmilionerów" wyglądała bowiem dość żałośnie i zachowywała się żenująco. W obliczu Temidy małomiasteczkowa fantazja i cwaniactwo zbrodniarzy ustąpiły miejsca tępej chytrości i pozorowanej ograniczoności, oraz niepozorowanej już naiwności. Była w tym niewątpliwie i zasługa reżyserskich skłonności obrońców. Efekty dawało to jednak nieraz przekomiczne. Oto dialog prokuratora Doręgowskiego z szefem gangu Mieczysławem Florianowiczem:

**Prok. Doręgowski:** — Oskarżony po wykopaniu pistoletu oczyścił go nie tylko z zewnątrz, ale również czyścił lufę od środka i poszczególne naboje z magazynka?

**Osk. Florianowicz:** — Tak.

**Prok. Doręgowski:** — Jeśli broń nie miała być użyta, po co to robił?

**Osk. Florianowicz:** — Bo... byłem ciekawy czy rdza może po tylu latach zrobić coś lufie od środka (!)

Dalszy ciąg na str. 5

Foto: St. Słowik

ZBIGNIEW NIENACKI

# Legenda i rzeczywistość kulturalna ŁODZI

**Co jakiś czas Łódź staje się obiektem ataków lub tylko złośliwych uszczypliwości ze strony ludzi pióra. Jest ona pod tym względem czymś wyjątkowym, żadne inne miasto nie ma chyba aż tylu wrogów. Co ciekawe — przedmiotem ataku lub uszczypliwości, nie są na ogół jakieś określone osoby żyjące w naszym mieście lub środowisku, ale Łódź jako zespół ulic i domów, Łódź jako obiekt architektoniczno-urbanistyczny, jako miejsce na mapie. Na palcach jednej ręki można wyliczyć publicystów, którzy w swym dorobku nie mieliby paszkwilu na temat Łodzi, niemal każdy publicysta działający dziś w naszym mieście, zaczynał sprawdzać ostrze swego ołówka od generalnej rozprawy ze swym rodzinnym miastem. Tak jak w każdej prawie redakcji istnieje odwieczny temat, który daje się do opracowania autorom, próbującym stawiać pierwsze kroki, tak Łódź, i jej zła legenda, staje się sprawdzianem dla publicysty, czy dojrzał on już do normalnej działalności, czy przeszedł „chrzest bojowy". Byle pretekst stanowi okazję do rozprawy; raz będzie to żądanie przeniesienia do innego miasta jakiegoś łódzkiego ośrodka kulturalnego, innym razem — wyjazd z Łodzi jakiejś znaczącej persony; innym razem powie się źle o Łodzi pod byle jakim pretekstem, ot, jak na przykład, przy okazji oceny polskiej kinematografii. Dlaczego w Polsce kręci się ostatnio tak ponure filmy? — zastanawiali się przed kilkoma dniami nasi czołowi krytycy filmowi. I doszli do wniosku: — Filmy są ponure dlatego, że kręci się je w Łodzi. Bo to miasto jest ponure. Gdyby filmy robiono w Warszawie, byłyby znacznie weselsze, gdyż warszawiacy znani są z poczucia humoru...**

**Nie zamierzam polemizować z takim poglądem, na ostatniej stronie naszego pisma czytelnicy znajdą notę w tej sprawie. Ów pogląd jest dla mnie tylko przykładem ciągle odnawiającej się legendy o „złym mieście". Legenda ta miała swoje głębokie uzasadnienia w okresie Łodzi międzywojennej, albo i jeszcze wcześniej, w Łodzi kontrastów społecznych, w Łodzi, gdzie naczelną rolę odgrywał pieniądz, przed którym korzył się tak zwany „lodzermensch", osobnik antykulturalny, o specyficznej mentalności pana Geldhaba. Okres powojenny, gdy Łódź — dzięki przypadkowi stała się niekoronowaną stolicą Polski — nie dopomógł w rozbiciu złej legendy, a nawet przeciwnie — moim zdaniem jeszcze ją pogłębił, szczególnie wśród twórców, pisarzy i artystów. Opuścili oni Łódź z uczuciem klęski, a tym samym i wielkiej niechęci. Bardzo trafnie opisał to Adolf Rudnicki w jednym ze swych pięknych opowiadań. Pisarze i artyści — pisał on — zbiegli do nie zniszczonej Łodzi jak rajskie, rzadkie ptaki, którym wydawało się, że w tym szarym i zadymionym mieście tym bardziej uda się im błyszczeć. Po jakimś czasie wstrząśnięci zostali faktem, że to miasto pozostało wobec nich obojętne, skazało ich na izolację, na pozostawienie w ciasnym małym światku. Nie tylko nie okazało zachwytu i zainteresowania, bez którego twórca nie może żyć jak bez powietrza — ale co gorsza, w ogóle nie zauważyło ich obecności. Uczucie klęski — pisał Rudnicki — towarzyszyło twórcom, gdy opuszczali to miasto. Zrozumiała jest ich niechęć do Łodzi; nie myśli się z radością o miejscu, gdzie przeżyło się klęskę. Stąd więc i dalszy ciąg dawnej legendy o „złym mieście".**

**Socjologowie pokusili się już aby wyjaśnić nam wiele aspektów zjawiska obojętności z jaką miasto nasze traktuje artystów. Obnażyli strukturę społeczną mieszkańców Łodzi, dezintegrację jego środowisk, udowodnili nam, że Łódź to właściwie nie jedno miasto, ale kilka małych miast i miasteczek — nie będę przytaczał wszystkich czynników, można je znaleźć niemal w każdej rozprawie socjologicznej poświęconej jakiemuś zagadnieniu w naszym mieście. Inteligencja twórcza stanowi w Łodzi**

Dalszy ciąg na str. 2

WIESŁAW BEK

*W POLITYCE ŚWIATOWEJ*

# REALIA i HOROSKOPY

Różne mogą być miary oceny minionego roku w polityce światowej. Można na przykład, patrząc przez pryzmat wydarzeń kubańskich, stwierdzić, że był to najdramatyczniejszy rok w całym powojennym okresie. Można i odwrotnie, patrząc na pokojowy finał groźnego kryzysu w strefie Morza Karaibskiego, stwierdzić, że możliwość pokojowego współistnienia zarysowała się tak wyraźnie jak nigdy dotąd. I jeden i drugi sąd okaże się prawdziwy.

Można też przyłożyć inną miarę: przypomnieć, jakie to wydarzenia zarejestrowane zostały w międzynarodowej kronice równo przed rokiem i poszukać odpowiedzi na dręczące ludzkość pytanie: W jakim rozwinęły się kierunku — pokoju czy wojny? Ta metoda oceny roku wydaje się interesująca i dlatego, że pamięć ludzka jest zawodna...

Przerzućmy więc wspólnie kilka stronic kroniki z pierwszych dni stycznia 1962 r.

1 stycznia — *Naród kubański radośnie obchodził trzecią rocznicę zwycięstwa rewolucji i obalenia dyktatury Batisty. Ten bohaterski naród — pisała prasa — zdaje sobie jednak sprawę, że siły wrogie Kubie wzmagają natarcie...*

2 stycznia — *Stały przedstawiciel ZSRR przy ONZ skierował oświadczenie w sprawie osiągnięcia porozumienia, które położyłoby kres doświadczalnym eksplozjom jądrowym.*

3 stycznia — *Ultrasi zorganizowali w Algierii masakrę Algierczyków. Zabito 127 osób.*

4 stycznia — *Prasa światowa zastanawia się, czy w rozmowie min. Gromyki z ambasadorem Thompsonem na temat Berlina i Niemiec udało się uczynić jakiś krok naprzód.*

5 stycznia — *Generalicja zachodnioniemiecka domaga się w tajnym memorandum wyposażenia Bundeswehry w broń atomową.*

11 stycznia — *Prezydent Kennedy przedstawił orędzie o stanie państwa. Komentatorzy określili je jako defensywne, ponieważ prezydent nie mógł przytoczyć zbyt wielu sukcesów w dziedzinie międzynarodowej.*

15 stycznia — *Zgromadzenie Ogólne ONZ wznowiło obrady. Na porządku obrad — likwidacja resztek kolonializmu.*

Przytoczyłem kilka pozornie różnych faktów. Ale właśnie tylko pozornie. W ciągu pierwszych dwóch tygodni ub. roku przy ich pomocy zasygnalizowane zostały wszystkie podstawowe problemy współczesnego świata: pokój, rozbrojenie, walka o niepodległość lub jej umocnienie, już po formalnym ukształtowaniu własnej państwowości. Czy minionych czas zbliżył je do rozwiązania?

Na pewno tak. Niektóre, żeby wymienić tylko Algierię, Laos, czy wejście w końcową fazę rozmów o Kubie, dały widoczne rezultaty, konieczność rozwiązania innych stała się wyraźniejsza niż przed rokiem.

Przyczyniła się do tego przede wszystkim lekcja kubańska. Stała się ona nową ilustracją słuszności tez XXII Zjazdu KPZR: najważniejszym problemem obecnej doby jest walka o pokój. Ten groźny październikowy kryzys przyniósł bardzo potrzebny przykład praktyczny — udowodnił, że najostrzejsze nawet konflikty można uregulować przy okrągłym stole obrad. Prawda ta głoszona przez nasz obóz od dawna, poddawana

Dalszy ciąg na str. 2

(Dokończenie ze str. 1)

warstwę niemal naskórkową i podobnie jak naskórek na ciele człowieka najczęściej narażona jest na różne dolegliwości, oparzenia czy wahania zmiennej aury. O inteligencji technicznej pisze się z coraz większym rozczarowaniem — zawiodła ona pokładane w niej nadzieje, nie tylko, że nie stała się silnym i prężnym odbiorcą kulturalnym, ale ogarnięta mitem cywilizacyjnym, cofa się wstecz pod względem swej kulturalnej chłonności. Przeprowadzano już w tej sprawie najróżniejsze badania ankietowe, każdy z was może zresztą na własną rękę dokonać takiego badania, zapytać młodego inżyniera czy lekarza, ile razy w ciągu roku był w teatrze, co w tym roku przeczytał z literatury pięknej. Usłyszycie odpowiedź: „nie mam na to czasu". Każdy z nich bowiem oprócz normalnej pracy w fabryce czy w szpitalu lub w przychodni, ma jeszcze i uboczne zajęcia zawodowe, musi przecież mieć pieniądze na zapewnienie sobie odpowiedniego standardu życiowego, na spłatę rat za samochód, na wycieczkę zagraniczną itd, itp.

Dla ludzi kultury w Łodzi, pisarzy i artystów, którzy zdecydowali się pozostać w tym mieście — staje się coraz bardziej oczywiste, że jedynym elementem, na który trzeba liczyć w swych kulturalnych rachubach — jest robotnik, o którym niestety bardzo mało wiemy, który stanowi przysłowiową „terra incognita". Nie znamy jego gustów, nie znamy jego zainteresowań, a nawet gdybyśmy znali, czy należy tym gustom schlebiać? Wiemy, że większość z nich to kobiety i młodzież, przeważnie przybyła niedawno ze wsi, wraz ze swymi parafialnymi obyczajami i nawykami. Jak je kształtować, a przede wszystkim jak dotrzeć do nich ze sprawami kultury?

Niestety, nie ma w tej dziedzinie żadnego jasnego i konkretnego długofalowego planu działania, które obecnie ogranicza się niekiedy jedynie do przypadkowych partyzanckich wypadów. Czynniki miejscowe popełniają w tej sprawie wiele błędów, jak również wiele błędów popełniają sami twórcy. Lecz mimo wszystko można będzie już chyba niedługo dokonać jakiegoś bilansu osiągnięć w tych sprawach i po przeanalizowaniu błędów, otrzymać w końcu obraz sytuacji kulturalnej Łodzi. Ci, którzy zdecydowali się przeciwstawić legendzie o „złym mieście" — muszą mieć świadomość, że praca ich nie idzie na marne. Wydaje mi się, że ostatni okres był pod tym względem szczególnie ciekawy i płodny; sądzę, że Łódź posiada już trwałe dźwignie swego wzrostu kulturalnego. Warto o nich pomówić.

Przede wszystkim za bardzo pozytywne zjawisko należy chyba uznać zupełny upadek istniejącego u nas do niedawna mitu, że miarą kultury i siły środowisk twórczych jest... wąsko pojęte, elitarne pismo literackie. Łódź przedwojenna miała co jakiś czas pisma literackie, upadające zresztą po kilku numerach — czy była jednak przez to miastem bardziej kulturalnym niż dzisiaj? Zakres oddziaływania tych pism na Łódź był prawie żaden. A jednak ile trzeba było stoczyć walk i sporów, aby uświadomić sobie, że pracę kulturalną w naszym mieście trzeba zacząć od podstaw, do dóbr kulturalnych trzeba stworzyć najpierw pomost, najpierw obudzić zainteresowania kulturalne, a potem częstować twórcami kultury. I jeśli za kilka tygodni ukaże się na półkach księgarskich „Osnowa", poświęcona prezentacji łódzkiej literatury i sztuki, i jeśli okaże się, że tom ten znajdzie swych odbiorców, to nie można będzie tego zagadnienia odrywać od faktu, że tygodnik kulturalno-społeczny „Odgłosy" (inny przecież niż tradycyjny tygodnik literacki) — zbliża się do swego pięciolecia. W swym dorobku „Odgłosy" mają nie tylko setki artykułów i reportaży penetrujących zagadnienia społeczne i kulturalne Łodzi, ale mają przede wszystkim czytelników rekrutujących się z wielu środowisk, nie tylko z tzw. klasycznej inteligencji, często czytelników młodych i awansujących, dla których stanowiły one pomost do literatury poważniejszej. Dlatego za najbardziej pozytywne zjawisko ostatniego okresu w naszym mieście uważam fakt, że mimo setek najróżniejszych trudności, w Łodzi ZREALIZOWANY ZOSTAŁ W DZIEDZINIE KULTURY PROGRAM MINIMUM; istnieje w Łodzi coraz bardziej rozszerzający się krąg odbiorców dóbr kulturalnych. A niemała w tym rola łódzkiego tygodnika „Odgłosy", jego modelu dostosowanego do potrzeb naszego miasta. Poprzez swój charakter „Odgłosy" zdołały osiągnąć to, co dawniej powodowało uczucie klęski u twórców, zdołały w pewnym sensie rozproszyć obojętność z jaką Łódź odnosiła się do nich, zdołały w jakiś sposób zainteresować miasto jego artystami. TERAZ BĘDZIE MOŻNA ZACZĄĆ REALIZOWAĆ PROGRAM MAKSIMUM, a pierwszą jego jaskółką stanie się być może, właśnie ów tom — „Osnowa".

Łódź jest bardzo dziwnym miastem. Niekiedy wydaje mi się, że co by się o nim nie napisało — jest to prawda. I to, że jest złe i niekulturalne, ale i to że przecież żadne inne miasto, a właśnie Łódź, będzie już niedługo miało swoją własną monografię reporterską. Najlepsi polscy reporterzy dokonali rekonesansu po wszystkich dzielnicach naszego miasta i niedługo nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukaże się gruby tom, noszący tytuł „Opisanie Łodzi". Otrzymamy do ręki książkę, która pozwoli w dużym stopniu rozproszyć legendę o „złym mieście", ukaże jego prawdziwe oblicze, dostarczy nam

# LEGENDA i RZECZYWISTOŚĆ KULTURALNA ŁODZI

materiału do dywagacji publicystycznych, stanie się przewodnikiem po jego dzielnicach, po małych miastach i miasteczkach Łodzi. Takiej książki nie dorobiły się jak dotychczas żadne inne miasta w Polsce.

Albo inna sprawa. Żadne inne miasto w Polsce nie zafundowało swoim twórcom stypendiów tak, jak to zrobiło u nas kilka zakładów pracy. Jest oczywiście sprawą dyskusyjną rozdział tych stypendiów i ich plon — być może ta szansa nie zostanie w pełni wykorzystana — ale fakt ten świadczy przeciw złej legendzie o Łodzi.

Na pewno zaszkodził opinii o naszym mieście nieudany konkurs na powieść. Jego klęska, to BYŁA JESZCZE JEDNA KLĘSKA TYCH WSZYSTKICH, KTÓRYM WYDAJE SIĘ, ŻE W ŁODZI MOŻNA DZIAŁAĆ TYLKO NA EFEKT. To była klęska tych wszystkich, którym się wydaje, że należy mieć tradycyjne, wąskie pismo literackie, którego nikt nie czyta i organizować nikomu niepotrzebny konkurs ogólnopolski, aby otrzymać legitymację najwyższej kultury. Prawda zaś jest taka, że nie praca na efekt, ale UMOŻLIWIENIE PRACY TWÓRCOM ŁÓDZKIM I USTANOWIENIE POMOSTU DO ODBIORU OWOCÓW ICH TWÓRCZOŚCI, może w rezultacie spowodować wzrost poziomu kulturalnego Łodzi. Gdyby pieniądze przeznaczone na efektowne nagrody w konkursie skierowano w bardziej właściwym kierunku, choćby na stworzenie lepszych warunków pracy łódzkim artystom — wynik okazałby się stokroć sowitszy. Bo wbrew wynikom konkursu na powieść o Łodzi, które sugerować mogą zupełny brak zainteresowania problematyką łódzką, właśnie w ostatnim okresie zrodziło się i rodzi coraz więcej utworów literackich ściśle związanych z naszym miastem, powstaje to, co kiedyś się nazwie „literaturą Łodzi". Co ciekawe, owa literatura rodzi się spontanicznie, wynika właśnie z serdecznego zainteresowania jakie twórcy mieszkający w Łodzi okazują swemu miastu; jej powstanie odbywa się bez żadnych haseł i programów, po prostu wynika z potrzeby samych twórców. Interesujący jest także fakt, że literatura ta okazuje się tak różnorodna nie tylko pod względem treści, ale i formy. Od prób Tadeusza Papiera, który stara się trafić do jak najszerszych rzesz czytelniczych — do „Białego runa" Leona Gomolickiego, książki o jednej z fabryk Łodzi. Na osobnym miejscu postawić trzeba powieść Bernarda Sztajnerta pt. „Narodziny Brunona Bundera" — historię łódzkiego dzieciństwa młodego chłopca wplątanego w wir konfliktów narodowościowych przedwojennej Łodzi. A debiut prozatorski Jerzego Waleńczyka pt. „Sześcienna cisza zmierzchu", tom opowiadań, w którym znaleźć można pięknie podchwyconą aurę i scenerię łódzkich peryferii? A nieco wcześniej opublikowana „Ucieczka z Ziemi Obiecanej" Władysława Rymkiewicza. Niedługo ukaże się tego autora powieść związana z powstaniem styczniowym w okolicach Łodzi — „Bitwa w lasach pod Dobrą". Istnieje już cała literatura dotycząca zagadnień regionu Łodzi, choćby z okresu walki o władzę ludową. Istnieje już, co więcej, zainteresowanie osobą pisarza. Czyż trzeba wymieniać cyfry, obrazujące rozmaitość środowisk, stykających się z pisarzem w bezpośrednim spotkaniu?

— Oto ciekawe i napawające optymizmem zjawiska literackie, rozbijają one złą legendę o Łodzi — pustyni kulturalnej. Zjawisko to, ta nowo powstająca wielka szansa kulturalnej Łodzi — nakłada również obowiązek i na ojców naszego miasta, na czynniki odpowiedzialne za politykę kulturalną. TRZEBA SATYSFAKCJONOWAĆ TWÓRCÓW, PISARZY I ARTYSTÓW, TRZEBA IM POŚWIĘCAĆ JESZCZE WIĘCEJ UWAGI I TROSKI. Gdy zniesiona została nagroda literacka naszego miasta, należy pomyśleć o jakiejś innej formie satysfakcjonowania autorów swą twórczością związanych z Łodzią.

Bo z wykorzystaniem szans podniesienia rangi kulturalnej naszego miasta — nie jest w Łodzi najlepiej. Często zaprzepaszcza się je, zaniedbuje, w rezultacie powodując straty nie do odrobienia. Tak było na przykład ze sprawą rodzącej się w naszym mieście dramaturgii. Wystarczy przejrzeć prasę polską z ubiegłego roku, aby przekonać się jak poważnym echem odbiło się w niej to zjawisko. Niespodziewanie dla nikogo, Łódź stała się jednym z poważniejszych ośrodków dramaturgicznych w Polsce. Szeroki rezonans znalazł fakt pięciu debiutów dramaturgicznych na łódzkich scenach; jeden z nich, niewątpliwie dyskusyjny — „Kwiaty łódzkie" otrzymał nawet nagrodę Ministra Kultury i Sztuki. Czemu przypisać, że zamiast rozdmuchać tę nową iskrę, zadeptano ją — jakoś nie słychać w tym roku nie tylko o debiutach, ale o kontynuacji tej właśnie tak świetnie zapowiadającej się współpracy między teatrami a ludźmi pióra?

Dlatego pewien jestem, że jeszcze co jakiś czas ten i ów twórca opuszczać będzie nasze miasto z uczuciem klęski, z uczuciem, że spotkała go tu obojętność. Zapisze się na listę tych, którzy nie szczędzą uszczypliwości naszemu miastu, i w swych złośliwych uwagach — na pewno będzie miał wiele racji. Kto jednak zrozumie, że AWANS KULTURALNY ŁODZI ZWIĄZANY JEST NIEROZERWALNIE Z AWANSEM KULTURALNYM TAKŻE I ŚRODOWISKA ROBOTNICZEGO, a dźwignie tego awansu są wielorakie i coraz częściej uruchamiane — kto los swój zwiąże z tym awansem i potrafi uzbroić się w cierpliwość — ten będzie miał w przyszłości możliwość przeżycia wielkiej i niepowtarzalnej satysfakcji, że zdołał sobą zainteresować to trudne miasto.

ZBIGNIEW NIENACKI

# REALIA i HOROSKOPY

Dalszy ciąg ze str. 1

była w wątpliwość w stolicach zachodnich. Dziś alternatywa: pokojowe współistnienie czy też zagłada ato mowa nie może rozsądnym nastręczać wątpliwości.

**„Wybuch konfliktu światowego** — mówił na Zjeździe Włoskiej Partii Komunistycznej Palmiro Togliatti — **...oznaczałby, że w strefie objętej działaniami wojennymi, która rozciąga się dziś w przybliżeniu na cały świat, uległyby zniszczeniu wszystkie ośrodki naszej cywilizacji, przy czym nie wiadomo, czy ocaleni z zagłady mogliby utrzymać się przy życiu. Przypuszczalnie ludzkość nękana odrażającymi chorobami wegetowałaby przez długie wieki, zanim znalazłaby choć trochę siły, aby podźwignąć się z upadku. W obliczu takiej perspektywy nieistotne są rozważania, w jakim kierunku poszedłby rozwój form ustrojowych tego pozostałego przy życiu strzępka ludzkości. Byłoby to bowiem, praktycznie rzecz biorąc, samobójstwo rodzaju ludzkiego."**

Ta prawda, plastycznie wyłożona przez Togliattiego, dociera coraz szerzej i różnicuje także świat kapitalistyczny. Prócz kół nieobliczalnych w swej polityce, coraz więcej jest grup wahających się, gotowych uniknąć kroków pchających do konfliktu atomowego.

Tego faktu nie można bagatelizować. Politycy — marksiści, wyznający zasadę każdorazowego analizowania sytuacji i wyciągania z niej wniosków, dostrzegają w tym sprzyjające warunki zmuszające do odwrotu najbardziej agresywne koła Zachodu. Moralna i materialna siła ZSRR i całego obozu socjalistycznego, szeroka strefa krajów neutralnych, które odegrały tak wielką rolę w konflikcie kubańskim i aktywizacja w obronie pokoju, różnych grup często nie mających ze sobą innych cech wspólnych — uzasadniają optymizm.

**„Patrząc w przyszłość** — mówił na uniwersytecie w Baltimore sekretarz generalny ONZ, U Thant — **wyrażam nadzieję, że duch kompromisu, jaki cechował dyskusję między ZSRR i USA w sprawie Kuby, może pomóc w rozwiązaniu innych ważnych problemów, takich jak rozbrojenie i zakaz prób jądrowych"...**

Rok miniony nie przyniósł widocznego w tej dziedzinie postępu. Przygotowane przez „Komitet 18" sprawozdanie z przebiegu negocjacji genewskich nie odnotowuje zbliżenia. Mimo to obie bezpośrednio zainteresowane strony nie tracą wiary w możliwość kompromisu. Ponad 400 posiedzeń konferencji trzech mocarstw atomowych wydaje się wskazywać, że nie zaniedbuje się niczego, co przerwałoby nuklearny wyścig.

**„Jeśli będzie trzeba odbędziemy jeszcze 400 lub nawet tysiąc posiedzeń"** — powiedział ostatnio przewodniczący delegacji ZSRR — Carapkin. Bezsens zbrojeń staje się bowiem oczywisty.

Nie ruszyła z miejsca także kwestia berlińska. Ale znowu poświęcono jej wiele set godzin w rozmowach politycznych. Zachodnie „nie" na propozycję wyprowadzenia garnizonów z zachodniego Berlina jest w chwili obecnej najbardziej kontrowersyjną sprawą, uniemożliwia postęp. Przed rokiem jednak rozbieżności było jeszcze więcej.

Czy można więc tracić wiarę, że i ten trudny problem na pewno mniej groźny niż w październikowych i listopadowych dniach konflikt kubański, będzie rozstrzygnięty w drodze pokojowej?

Realia 1962 roku w dziedzinie łagodzenia spornych problemów są być może mniejsze niż tego oczekiwaliśmy, horoskopy jednak na pewno pomyślniejsze.

Przed kilku dniami, dorocznym już zwyczajem, korespondenci zachodnioniemieckiej DPA dokonali bilansu wydarzeń politycznych i z różnych stolic świata postawili horoskopy na rok 1963. Wszyscy oni, co podkreśliła we wstępie agencja, przekonani są, że nowy rok upłynie pod znakiem dalszego odprężenia w stosunkach między dwoma głównymi mocarstwami: Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi. By nie być gołosłownym podajmy kilka opinii.

Z WASZYNGTONU: *Zdaniem rządowych kół amerykańskich przebieg i zażegnanie kryzysu kubańskiego wywierać będzie przez długi czas korzystny wpływ na wzajemne stosunki amerykańsko-radzieckie.*

Z MOSKWY: *Kryzys kubański i sposób jego zażegnania stanowią stałą część składową polityki radzieckiej mającej na celu inspirację zmiany kursu w polityce Zachodu. Stały się one praktycznym dowodem możliwości kompromisu. Politycy radzieccy oczekują obecnie na to, by polityka ta wywarła konsekwencje w obozie zachodnim.*

Z GENEWY: *Zdaniem obserwatorów zachodnich, coraz bardziej wzrasta zainteresowanie rozbrojeniem. Powszechniejszą staje się świadomość bezsensu dalszych zbrojeń, które kosztem potrzeb cywilnych, pochłaniają coraz więcej dolarów i rubli.*

Podobne opinie wyrażają korespondenci DPA z Londynu, Paryża, Ameryki Łacińskiej. Wszyscy przewidują, że nowy rok nacechowany będzie wzajemną gotowością do kompromisów, co mogłoby przyczynić się do zawarcia układów rozbrojeniowych, zaprzestania doświadczeń z bronią nuklearną, czy też podpisania paktu o nieagresji między krajami NATO i Układu Warszawskiego.

Do takich kompromisów zmusza współczesna mapa świata. Kto umie z niej czytać zrozumie, że dojrzewają warunki do ostatecznego wyboru dróg: szybkiej poprawy stosunków między państwami lub wzajemnego unicestwienia. Rok 1962 dostarczył dowodów, że świat pójdzie pierwszą z wymienionych dróg.

WIESŁAW BEK

## „Lampart"

Jeszcze jeden triumf literatury. Wspaniała powieść włoska „Lampart" Giuseppe Thomasi di Lampeduzy — otrzymuje wersję ekranową. Na zdjęciu (powyżej) widzimy Claudię Cardinale w roli Angeliki, a poniżej Burt Lancaster jako książę Salina. Tym czytelnikom Mieszanki Filmowej, którzy nie znają „Lamparta" radzimy jak najprędzej zapoznać się z tą wspaniałą i wydaną u nas niedawno książką.

## „KRAKSA"

Twórca nagrodzonego Srebrnym Żaglem na Festiwalu w Locarno w roku ubiegłym „Cmentarza Remu", absolwent Łódzkiej Szkoły Filmowej i b. współpracownik naszej redakcji, Edward Etler — zakończył realizację kolejnego filmu zatytułowanego „Kraksa" wg własnego scenariusza. Film jest impresją na temat miłości dwojga młodych ludzi jadących samochodem. Świetnie oddana atmosfera, i znakomite zdjęcia operatora Stanisława Śliskowskiego czynią „Kraksę" jeszcze jedną ciekawą wypowiedzią artystyczną młodego reżysera. Muzykę do tego filmu napisał Komeda-Trzciński. Dodać należy, że film ten zrealizowany został w Łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych, która ostatnio coraz wyraźniej rozszerza wachlarz tematyczny i rodzajowy produkowanych filmów.

A. N.

POLA WERT

*Nowe sprawy sztuki filmowej*

# Telewizja a film

KONTYNUUJEMY DRUK INTERESUJĄCYCH ARTYKUŁÓW ZWIĄZANYCH Z NOWYMI SPRAWAMI SZTUKI FILMOWEJ. SĄ TO SPRAWY ZAUWAŻONE I SKOMENTOWANE PRZEZ ZESPÓŁ NAUKOWCÓW ZAKŁADU WIEDZY O FILMIE UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO. ARTYKUŁY O NOWYCH SPRAWACH SZTUKI FILMOWEJ ZAMIESZCZAĆ BĘDZIEMY CO DWA TYGODNIE.

DZIŚ DRUKUJEMY TRZECI Z CYKLU TYCH INTERESUJĄCYCH MATERIAŁÓW.

REDAKCJA

Tytuł artykułu należałoby w zasadzie opatrzyć znakiem zapytania, żeby pozbawić go pychy wizjonerstwa Ksiąg Sybilli. Jakkolwiek w listopadzie 1961 r. jedna z najstarszych w świecie — telewizja brytyjska (BBC) obchodziła 25-lecie istnienia, telewizja programowa (w odróżnieniu od użytkowej stosowanej dla potrzeb obserwacji) zaczęła się na dobrą sprawę rozwijać dopiero po wojnie i liczy sobie zaledwie kilkanaście wiosen. My i NRD obchodziliśmy niedawno jej 10-lecie. Amerykanie liczą oficjalnie jej wiek od r. 1948. Jej wybuch równy wybuchowi epidemii miał miejsce w latach pięćdziesiątych — bowiem, jak notują statystyki UNESCO, w latach 1950—1960 ilość telewizorów na całym świecie wzrosła 8-krotnie. (Pod koniec 1960 roku — 80 milionów, obecnie ponad 100 — w 67 krajach, t. j. na 100 osób ok. 3 i pół telewizora!) Te dane dają asumpt do obiegowego nazywania II połowy naszego wieku — wiekiem TV i ustalanej przez Rosjan periodyzacji jej rozwoju: etap I (od końca XIX w. do połowy lat trzydziestych XX w.) — prace nad wynalazkiem TV, etap II (od końca lat trzydziestych do początku lat pięćdziesiątych) — powstanie przemysłu telewizyjnego i ośrodków TV, etap III — (od lat pięćdziesiątych do dziś) — szeroki rozwój telewizji programowej, albo — jak się również mówi — masowej. (Por. A. Rochlin, W. Szastin — „Televidenie kak iskusstwo").

Zawrotna kariera socjologiczna i „artystyczna" TV ma więc w sobie coś z kariery „cudownych dzieci", które mając kilkanaście lat piszą dramaty, układają symfonie i dysertacje naukowe. Wobec niej film, dobiegający 70-łki jest już stateczny, żeby nie powiedzieć sędziwy. „Cudowność" TV ma zaiste cechy genialności, skoro się przyjmie, że podstawowym kryterium tej ostatniej jest społeczna wartość tworzonych przez nią dzieł. Nie dziwmy się zatem entuzjastom, którzy — nieco przedwcześnie — promowali TV do rangi XI muzy. Nie osiągnęła ona przecież dotychczas ani doskonałości, ani nawet stabilizacji technicznej i stale się rozwija, ciągle jeszcze trwają w świecie gorące spory o jej istotę i specyfikę, dzieląc uczestników sporów na dwa wielkie obozy: tych, którzy widzą już w TV sztukę i tych, którzy odmawiają jej nawet potencjalnych możliwości stania się sztuką. W powijakach znajduje się jeszcze jej teoria (mimo rozlicznych publikacji rozwijających głównie praktykę i teorię jej warsztatu) oraz naukowe nad nią badania (głównie socjologiczne).

Ale nie wszystko wymyka się ostatecznej interpretacji. Praktyka i teoria TV dostarczyła już wielu spostrzeżeń, które można traktować jako pewniki. Oto one:

1) TV jest przede wszystkim wspaniałym wynalazkiem łączności elektrycznej, o jakim marzyła ludzkość od czasu wynalezienia telegrafii, telefonii i telekopii. Dzięki właściwości przenoszenia obrazów na odległość jej ranga użyteczności społecznej równa się takim wspaniałym środkom przekazu informacji jak druk, fotografia, film i radio.

2) Jest to więc przede wszystkim przekaźnik komunikatów o świecie — „środek transportu w dziedzinie kultury", jak nazwał ją w roku 1935 R. Arnheim. Środek inny i w pewnym sensie doskonalszy od filmu (nie dający jednak tak dobrych jak film warunków rejestracji i dokumentacji) bo działający „bezpośrednio", „spontanicznie" i „aktualnie" — jak określił specyfikę TV Amerykanin Rudy Bretz, którego rozważania idą torem rozważań R. Arnheima. Za pomocą tego środka mamy możliwość bezpośredniego przyglądania się rozgrywającym się o tysiące kilometrów aktualnym wydarzeniom. I wiemy co to za ucieczka! To już nie film, który zarejestrował swego czasu, a pokazuje nam potem przemówienie Chruszczowa, Jana XXIII czy mecz olimpijski. Rejestracja filmowa dzięki doskonalszemu niż w TV montażowi (odbywającemu się post factum) mogła nie tylko poczynić skróty, ale nawet dowolnie skomponować fragmenty przekazu. Transmisja TV oszczędza nam tego typu podejrzeń. Patrzymy na aktualnie rozgrywający się bieg wypadków. Na teraz uśmiechającego się męża stanu, lub teraz zrywającego się do piłki prawego łącznika.

3) Ale TV nie ogranicza się — jak wiemy — tylko do roli mechanicznego przekaźnika. Środek transportu, pełniący początkowo jedynie służebną rolę wobec publicystyki, teatru i filmu dopracowuje własnych typów widowisk, kusząc do rozważań o nowej autonomicznej sztuce. Słowem TV dysponuje zbiorem różnych przekazów informacyjnych i estetycznych, które nie tylko technicznie przenosi ale sama tworzy. Ma więc ona swoją własną publicystykę (dziennik, Peryskop, Tele-Echo. Wszyscy jesteśmy sędziami i t. p.), swój własny — nie tylko transmitowany zresztą coraz rzadziej — teatr) i to różnego gatunku, swoje widowiska dla dzieci, tele-quizy, swoją Wszechnicę, a nawet — jak wierny — swoje, tzw. telewizyjne filmy. Można więc przyjąć, i to jest faktem, że TV podobnie jak niegdyś film (wszystkie jego rodzaje: fabularny, dokumentalny, poetycki i naukowo-oświatowy), no i w pewnym sensie jak radio, przejmuje wszelkie możliwe funkcje (głównie informacyjne i rozrywkowe) piśmiennictwa i literatury, teatru, estrady i t. p. Przejmując te funkcje, w zakresie których leży nie tylko informowanie o rzeczywistości lecz także jej interpretacja artystyczna, TV zabiega tym samym o miano samodzielnej sztuki. Niezbitymi argumentami w tych zabiegach mają być jej: „kameralność", „intymność" i specyficzne złudzenie bliskości człowieka, którego obraz jest rzekomo jej tworzywem — tak przynajmniej twierdzą jej entuzjaści. Stygmat wtórności artystycznej, jaki wyziera jednak dotąd z osiągnięć TV (podobieństwo do filmu, teatru i form rodzajowych publicystyki radiowej) przestrzega jednakże przed poddawaniem się sugestii tych argumentów.

* * *

Film jako najlepsza i jedyna w swoim rodzaju przed TV technika wizualna (odbicie rzeczywistości w ruchu) był na pewno bezkonkurencyjny w spełnianiu wszystkich funkcji, o których powyżej. Doskonale zdajemy sobie z tego sprawę w siódmym dziesiątku lat jego istnienia pełnego triumfów. Wiemy, że stał się nieodzownym narzędziem badania i rejestracji rzeczywistości. (Filmowa analiza i synteza ruchu). Wiemy, że jest potężnym w swym zasięgu oddziaływania mass medium, dla którego rozwinął się wielki przemysł kinematograficzny i wielki światowy business. Wiemy, że rywalizuje (częstokroć zwycięsko) z literaturą i teatrem. Wiemy wreszcie, że stał się także piękną, syntetyczną sztuką, która jest „realizacją marzeń i ideałów artystów przeszłości". I to sztuką społecznie „najważniejszą".

Rozwój telewizji zagroził nie tyle filmowi — jak to się częstokroć mówi — lecz instytucji kina, i to po prostu poprzez spadek frekwencji kinowej. Człowiek XX wieku smakuje — jak wiemy — w wygodach i nie na próżno pomawiają go socjologowie o ubóstwo ideowe postawy konsumpcyjnej. Skoro widowisko TV, będące czasem filmem, czasem spektaklem teatralnym, music-hallem i t. p. daje się oglądać we własnym domu (w szlafroku, w domowych pantoflach, ba — w łóżku!) i wypełnia ono wolny czas rozrywką — po co chodzić do kina? Zagrożenie, jakie stanęło przed przemysłem filmowym (głównie w strukturze ekonomicznej Zachodu) było duże, i trzeba było mu zapobiec. Oczywiście znalazły się, i to niemal od razu, środki zaradcze, bo pomysłowość ludzka (i to interesowna!) nie zna przecież granic.

Najprostszym z nich jest tzw. „licencja telewizyjna", bez której film nie może być pokazany na małym ekranie. Producenci zachodni udzielają jej rozpowszechnianym filmom niesłychanie ostrożnie, albo nie udzielają jej wcale. W USA dopiero po 8—10 latach od premiery film może być wyświetlony w telewizji, w Anglii po 4—6 latach, we Francji i Włoszech po 2—4. U nas okres ten wynosi pół roku. (Por. W. Jankowski: Film w telewizji polskiej. Biuletyn Telewizyjny nr 9/10 1962). Skutecznym remedium na TV miała być także w latach pięćdziesiątych orientacja przemysłu kinematograficznego na rozwój różnych technik specjalnych filmu, nie używanych dotąd w TV. Przemysł filmowy inwestuje więc w filmy barwne, szerokoekranowe, stereofoniczne; doskonali i ciągle zmienia formy i wielkości ekranów (Circarama, Kinopanorama i t. p.) aż po otwierające się perspektywy na poliwizję i kino trójwymiarowe. Trudno więc nie zauważyć, że w konsekwencji rozwój telewizji wpłynął bodźcząco na rozwój pewnych technik filmowych. Dziś, jak wiemy, technika filmowa i telewizyjna zaczynają zawierać z sobą przymierze, z czego korzysta nie tylko TV lecz również film. (Np. stosowanie w produkcji filmowej wizjerów i monitorów telewizyjnych, pozwalających na natychmiastową ocenę „nakręcanego" obrazu, zainteresowania przemysłu filmowego różnego rodzaju sposobami zapisu obrazu na taśmie magnetycznej, czy termoplastycznej, które to sposoby z większym powodzeniem stosuje już technika TV.

Ale jak dotąd ani film ani nawet instytucja kina nie zbankrutowały. Zapomnijmy też o proroczych wizjach na temat rewolucji techniki i przemysłu filmowego. Rzeczywistość dostarcza innych argumentów i ciągle optuje zarówno za filmem na poczciwej dającej się świetnie montować taśmie celuloidowej (chemicy ciągle doskonalą jej podłoże!) jak i za instytucją kina, mimo triumfalnego pochodu przez świat TV.

1) Film jest i będzie nieodzownym, integralnym składnikiem programu TV. Bez jego pomocy, t. j. ograniczenie się TV tylko do tzw. żywych programów (transmisje, widowiska nadawane ze studio) zubożyłoby znacznie jej możliwości informacyjne. Jak wykazuje praktyka, na program TV składa się u nas od 30 do 50% filmów i materiału filmowego. W świecie procent ten bywa wyższy, a co więcej wykazuje tendencje zwyżkowe. (W NRD np. 70%; olbrzymi koncern amerykański WEST COATS — Zrzeszenie Producentów Filmowych Zachodniego Wybrzeża bazuje wyłącznie na programie filmowym wytrzymując świetnie rywalizację z konkurentem — EAST COAST — Zrzeszeniem Prod. Telewizyjnych Wschodniego Wybrzeża, który opiera swą działalność na tzw. telewizji „żywej"). Filmów wyświetlanych w TV łaknie ciągle widz. Materiał filmowy jest trwalszym i lepszym materiałem reporterskim.

2) Zmniejszył się wprawdzie nawyk chodzenia do kina, ale równocześnie kino stało się czymś odświętnym i jednak niezastąpionym, i to nie tylko ze względu na rozmiar ekranu. Jego fascynującej atmosfery, która od lat jest przedmiotem zainteresowań psychologów, nie stworzy nam własny fotel przed telewizorem. Co prawda siedzisz sobie na nim wygodnie, ale przeszkadza ci najczęściej mnóstwo drobnych czynności, jakie przy tej okazji wykonujesz. Przeszkadzają kręcące się dzieci, które po miłej wizycie „Na dobranoc" p. Raciborskiej czy p. Kobylińskiego trzeba ułożyć do snu. Przeszkadzają inni domownicy, sąsiedzi, goście. Co więcej: jest to absolutnie normalny sposób obcowania w domu z telewizją, przy której się rozmawia (często sama do tego prowokuje), a nawet moczy nogi. Teoretycy nazywają ten sposób postawą pseudo-widowiskową, całkowicie odmienną od tej, jaką zajmujesz wobec ekranu filmowego w sali kinowej, który wprowadza cię w marzenia senne. Jest to postawa bardziej krytyczna, nastawiona nie tyle na emocjonalną fascynację zdarzeniami filmowymi, ile na złudzenie intelektualnej dyskusji z ludźmi, którzy mówią do ciebie z telewizyjnego ekranu. Decyduje o tej postawie i mały ekran (bardzo często patrząc nawet na Kobrę dostrzegasz stojący na telewizorze wazonik) i gorsza jakość obrazu telewizyjnego i wreszcie sama specyfika przekazu telewizyjnego.

3) Wreszcie ostatni, najważniejszy argument. Tytułowy. TV mimo swych niewątpliwych osiągnięć artystycznych (choćby teatr TV!) jako mass medium nacechowana jest piętnem drugorzędnej, gorszej rozrywki kulturalnej i tak oceniają ją wszyscy na całym świecie. E. Tarroni, autorka interesującej książki o dzieciach, radiu i TV (Ragazzi, radio e televisione, Bologna 1960) i szkicu o estetyce TV (referat zamówiony przez UNESCO na międzynarodową konferencję w OSLO w październiku 1962) na podstawie swoich i innych badań nad odbiorem TV wręcz stwierdza, że „zainteresowania telewizją są odwrotnie proporcjonalne do poziomu kultury". Jest to największy „plagiator" w historii rozrywki — mówi o niej Anglik W. Eatherby w r. 1960. Jak pisze A. Ostrowski, do komiksów z dzieł klasyków porównuje adaptacje teatru TV w zakresie klasyki sam ich twórca A. Hanuszkiewicz. „Telewizja to guma do żucia dla oczu" — zjadliwie, ale nie bez pewnej dozy słuszności określa ją F. L. Wright. Czyżby więc TV była ciągle jeszcze na etapie kina jarmarcznego? Czy nie ma nadziei, że etap ten kiedyś przezwyciężymy?

Film uczył się — jak wiemy — wiele od literatury. Terminował też — co prawda krótko — w teatrze. Stał się jednak piękną, samodzielną sztuką. Dziś TV uczy się przede wszystkim od niego i dlatego R. Clair oświadczył, że nie widział nigdy czegoś takiego w TV, czego nie można by pokazać na ekranie kina. TV uczy się zapamiętale gramatyki języka filmowego (plany, montaż) płaci za korepetycje pilnym obsługiwaniem odbiorców mass medium codziennym, zwyczajnym chlebem, dostarczanym im dotąd przez film. Oczywiście film masowy, rozrywkowy, bez ambicji artystycznych — nie ten, który jest sztuką. Z tej wymiany usług korzysta jednak tylko film! Telewizja nie nauczy się przecież języka filmu, bo nie może się jego nauczyć. Wątpliwe też, by stała się kiedykolwiek samodzielną, specyficzną Sztuką. Natomiast wyzwalający się z codziennych obowiązków mass medium film ma szanse dzięki TV stać się jeszcze lepszy i szlachetniejszy artystycznie. Stąd też być może jego współczesne nurty: filmy autorskie, filmy typu ankietowego, filmy intelektualne — wszystkie jego twórcze poszukiwania i tendencje dostrzeżone w ostatnich latach.

Społeczna rola przekaźnika informacji i transportera, a tym samym popularyzatora kultury, jaką telewizja pełni, jest i tak rola doniosła i wielka. Nie wymagajmy na razie więcej od „cudownego dziecka" XX wieku. I bądźmy mu wdzięczni i za rolę, jaką spełnia wobec sztuki filmowej.

### CO WARTO PONADTO PRZECZYTAĆ?


1) C. Klimaczewski: ABC telewizji, W-wa 1961.
2) T. Pszczołowski: Na telewizyjnym ekranie, wyd. II, W-wa 1959.
3) R. Arnheim: Perspektywy telewizji w zbiorze pism „Film jako sztuka", W-wa 1961.
4) W. Sokorski: Z zagadnień socjologii radia i telewizji „Kultura i Społeczeństwo", z. 2 z r. 1961.
5) Kwartalnik Filmowy z. 4 z r. 1962 cały (!) poświęcony telewizji.

## *Rok wielkiej reformy*

# ZGŁASZAM PROPOZYCJĘ

**HENRYK DINTER**

Reforma szkolna — postulująca przystosowanie szkoły do potrzeb współczesnego życia, w głównych założeniach stawia na równi zmiany programowo-metodyczne z usprawnieniem — jeśli tak można powiedzieć — produkcyjnym szkoły. W odniesieniu do szkoły podstawowej idzie o to, jednak w pierwszym rzędzie o to, aby ta szkoła stała się istotnie w pełni powszechna i demokratyczna. Czyli, aby nie tylko obejmowała formalnie wszystkie dzieci obowiązkiem szkolnym, lecz by je również w normalnym trybie doprowadzała do ukończenia pełnego programu nauki (postulat powszechności) oraz, aby każde dziecko bez względu na szanse ekonomiczne, wartość i rangę społeczną swojej rodziny miało otwartą drogę do wykształcenia i zawodu odpowiadającego jego zdolnościom i zamiłowaniom (postulat demokracji).

Waga zagadnienia sprawności szkoły podstawowej wymaga odrębnego i wnikliwego rozpatrywania, bowiem rozwiązywanie zagadnienia tego nie zależy w takim stopniu od programów i metod, w jakim od możliwości ucznia. Ale możliwości bywają przeważnie ograniczone warunkami pozaszkolnymi.

Psychologowie twierdzą, że pierwsze lata nauczania, szczególnie pierwszy rok decyduje w dużej mierze o powodzeniu dziecka w szkole, a więc o tym, czy będzie ono później odsiadywało po dwa lata w klasie lub nawet o tym, czy wyjdzie ze szkoły nie ukończywszy jej. Nie trzeba chyba udowadniać, że drugoroczność jest kosztowna zarówno dla rodziców jak i dla państwa, a tzw. odsiew jest groźnym zjawiskiem społecznym, gdyż wyrzuca młodzież na margines społeczny. Pierwsze lata nauki są bardzo ważne w powodzeniu wychowawczym, gdyż jest to okres budzenia się sił uzdolniających jednostkę do współżycia społecznego, jest to również okres, w życiu człowieka niepowtarzalny, budzenia się aspiracji życiowych i powstawania wiary w siebie. Droga do określenia swego miejsca w życiu wprawdzie zaczyna się od kołyski, ale prowadzi przez liczne furtki i bramy, z których — jak do tąd drzwi szkoły — wbrew pozorom — nie dla każdego otwarte są na oścież.

Liczne badania naukowe i doświadczenie pedagogiczne wykazują, że niepowodzenia szkolne w pierwszych latach nauki — a co za tym idzie zniechęcenie i załamania — wynikają przede wszystkim z nierównych szans życiowych dzieci. Część dzieci przychodzi do szkół niedojrzała jeszcze pod względem rozwoju ogólnego do czynnego udziału w takim procesie nauczania, jakiemu są w praktyce poddane. Wśród niedojrzałych jeszcze do nauki tylko nieznaczna część dzieci (10—12 proc.) posiada upośledzenia endogenne (upośledzenia organiczne wrodzone), które należy obejmować opieką i szkolnictwem specjalnym, znaczna zaś większość z tej kategorii dzieci uległa po prostu zahamowaniu, najczęściej natury środowiskowej.

Obok dzieci niedojrzałych niepowodzeniom szkolnym ulegają również dzieci zaniedbane pod względem opiekuńczo-wychowawczym oraz dzieci z rodzin, które nie zapewniają im niezbędnych potrzeb życiowych.

Rzecz zrozumiała nawet na zdrowy rozsądek. Nie może mieć takich samych szans powodzenia szkolnego przy jednolitym programie nauczania i jednolitych wymaganiach — dziecko zahamowane w rozwoju i dziecko rozwinięte normalnie, dziecko z trudnych warunków ekonomicznych — niedożywione, źle ubrane, i niedostatecznie wyposażone w przybory szkolne, nie posiadające własnego kąta w mieszkaniu — i dziecko żyjące w dostatku, albo dziecko zaniedbane, brudne, denerwowane bijatykami domowymi lub awanturami pijackimi, żyjące w zamęcie i bezładzie wśród amoralnej atmosfery i rozprzężenia — a z drugiej strony dziecko otoczone miłością rodziców, ładem, spokojem, kulturalną atmosferą i troskliwą opieką. Nierzadko tak się dzieje, że nauczyciel uważa dziecko niedojrzałe za leniwe, niezdolne, a nawet upośledzone, zaś dzieci zaniedbane także za leniwe i z gruntu złe. Dzieci tak oceniane nie rozwijają się, a nawet ulegają regresji, tracą wiarę w siebie, a gdy do tego dołączają się jeszcze dyskryminacje — mobilizowanej opinii klasowej, użytej jako środka wychowawczego — lub represje, dziecko ulega poważnym urazom, które zaciążyć mogą na całym przyszłym życiu nie tylko szkolnym.

Co czynić w takiej sytuacji? — Czy ratować sprawność szkoły elastycznością metod i wymagań — jak to sugerują niektóre wypowiedzi dyskusyjne?

Programu i wymagań różnicować nie można, prowadziłoby to do zróżnicowania wykształcenia podstawowego, a tym samym do obniżenia poziomu wykształcenia części społeczeństwa polskiego. Indywidualizowanie w klasie szkolnej także ma swoje granice i nie może być posunięte za daleko bez szkody dla reszty klasy. Niestety — trzeba to przy okazji powiedzieć — obecnie są stosowane różnicowania wymagań. Nieraz bezradny i kochający dziecko nauczyciel, gdy nie widzi innej drogi wyjścia, a nie chce na dziecku skrupiać skutków przyczyn leżących poza nim, stosuje „taryfy ulgowe" lub spogląda na pewne zjawiska destrukcji przez palce. Nie tędy jednak droga.

Właściwa droga musi prowadzić przez rozwijanie opiekuńczej funkcji szkoły. Istotą tej funkcji jest orientacja szkoły w potrzebach wychowawczo-opiekuńczych dziecka i zaspokajanie tych potrzeb, co jest równoznaczne z wyrównywaniem szans powodzenia szkolnego. Już przy zapisie dziecka do szkoły powinno badać się jego potrzeby. W miarę tych potrzeb, np. w przypadkach stwierdzanej niedojrzałości należy organizować klasy wyrównawcze, w których, jeżeli stosować odpowiednie metody, można w niedługim czasie doprowadzić do osiągnięcia dojrzałości. W niektórych przypadkach raczej należy odroczyć obowiązek szkolny, niż przyjmować dziecko niedojrzałe. Podobnej terapii wyrównawczej muszą podlegać wady mowy, lęki, nieśmiałość, złe nawyki itd. Również do zakresu środków wyrównywania muszą wchodzić możliwości udzielania przez szkołę bezpośrednio lub za pośrednictwem społecznych placówek i urządzeń różnorodnych form pomocy opiekuńczo-wychowawczo-materialnych.

Uwagi powyższe można by zakończyć stwierdzeniem: sprawność szkoły, a jeszcze szerzej ujmując — jej powszechność i demokrację zapewnić może przede wszystkim rozwijanie opiekuńczej funkcji szkoły.

Tak można by zakończyć, gdyby nie cisnęły się pod pióro uwagi dotyczące szkolnictwa podstawowego w naszym mieście.

Tu bardziej niż gdzie indziej konieczne jest rozwijanie opieki nad dzieckiem. Nienowy to temat na stronicach „Odgłosów", nie ma też potrzeby powtarzania, gdyż rozważania o funkcjach opiekuńczych szkół łódzkich spełniły już swoje zadania jako dokumenty rozważań publicystycznych.

Gdyby wierzyć, że inicjatywa publicysty na coś się przyda, ośmieliłbym się złożyć pod adresem Kuratora Okręgu Szkolnego miasta Łodzi, Inspektorów Oświaty i kierowników szkół podstawowych wniosek takiej oto treści:

Trudno jest usunąć wszystkie niedomagania opiekuńczej roli szkół, ale ponieważ reforma szkolna jest faktem ustawowym i funkcja ta musi być rozwijana, to zacznijmy ją rozbudowywać niejako od początku — wraz ze wstępowaniem do szkoły nowych roczników.

A zatem: zróbmy wszystko, aby zapewnić dzieciom rocznika 1956, wstępującym do szkół we wrześniu 1963 roku, równy i dobry start. To znaczy, nie przyjmujmy dzieci do szkół na ślepo i nie przygotowani na różnorodne ich potrzeby. Zbadajmy wcześniej potrzeby, aby szkoły były już we wrześniu gotowe do wyrównywania szans powodzenia szkolnego.

Gdyby zaś taką zasadę przyjąć w stosunku do rocznika 1956, to sądzę, należałoby:

1. Rozpocząć zapisy najpóźniej od dnia 1 lutego 1963 roku nowego rocznika, lecz zapisy nie tylko formalne jak w poprzednich latach i potem prawie przypadkowe formowanie klas pierwszych, a zapisy oparte na badaniach środowiska domowego (wykłady ustalające wartość opiekuńczo-wychowawczą domu) badania lekarskie i badania psychologiczne — głównie ustalające dojrzałość szkolną.

2. Zebrany materiał z badań opracować w formie niejako diagnozy opiekuńczo wychowawczej dla każdego dziecka, ustalając jednocześnie na miarę zarysowujących się potrzeb i możliwości ich zaspokojenia środki i metody wyrównawcze.

3. Opracować projekt planu wychowawczo-opiekuńczego dla dzieci klas pierwszych, opartego na zsumowaniu potrzeb indywidualnych, np. klasy wyrównawcze i działania wyrównawcze, świetlica, dożywianie, leczenie wymowy, praca wychowawcza nad środowiskiem domowym, pomoc materialna, dobór szkieł dla niedowidzących itd.

4. Zaprojektowane plany najpóźniej do połowy maja skorygować i ustalić ostatecznie jako plany szkoły. Jednocześnie do tego czasu uformować w sposób racjonalny skład pierwszych klas, przewidzieć wychowawców tych klas i w ich ręce oddać opracowany materiał — konkretne zalecenia i wskazówki do realizacji, wychowawców zobowiązać do wyliczania się z realizacji zaleceń opiekuńczo-wychowawczych.

Pisząc te słowa zdaję sobie sprawę z ogromu pracy i możliwości realizacji. Mam świadomość i tego, że początek musi być daleki jeszcze od doskonałości. Od czegoś jednak trzeba zacząć. Rzecz jest możliwa do przeprowadzenia, już nawet są doświadczenia. Od czterech lat prowadzą tak'e właśnie zapisy w niektórych łódzkich szkołach poradnie społeczno-wychowawcze TPD.

Jeszcze kilka uwag wyjaśniających:

Wywiady domowe powinny być przeprowadzane według ujednoliconego kwestionariusza; przeprowadzać je mogą nauczyciele, studenci pedagogiki UŁ i studenci studiów nauczycielskich. Dobry instruktaż pracowników naukowych katedry pedagogiki społecznej UŁ, niektórych nauczycieli studiów nauczycielskich oraz pracowników poradni TPD pozwoli w krótkim czasie przygotować ludzi do przeprowadzenia wywiadów i opracowania ich. Osób instruktujących wystarczy do obsłużenia wszystkich szkół.

Nieco trudniej może się przedstawiać sprawa przeprowadzenia badań psychologicznych, lecz zarysowujące się trudności są do pokonania. Przede wszystkim należałoby ustalić i ujednolicić metodę badań — w pierwszym rzędzie metodę badań dojrzałości szkolnej. Wypróbowane wzory istnieją. Zmobilizowane do tych celów koło psychologów pedagogicznych może taką metodę ustalić i przeprowadzić szkolenie nauczycieli. Sprawa nie jest tak trudna, jak się pozornie wydaje. W każdej łódzkiej szkole znajdzie się nauczyciel, który przynajmniej ma przesłuchany uniwersytecki kurs psychologii. A można zaryzykować twierdzenie, że doświadczony nauczyciel bardziej jest predestynowany do skutecznego przeprowadzenia takich badań, niż nawet dyplomowany psycholog, ale nie obyty ze szkołą i bez praktycznej znajomości dziecka.

Również badania lekarskie wymagają ujednolicenia.

Oczywiście cała organizacja powinna być przemyślana, dobrze ułożona i oddana w sprawne ręce.

Byłoby też bardzo pożyteczne dla celów naukowych i praktycznych wybrać jeden obwód szkolny i założyć dzieciom rocznika 1956 z tego obwodu teczki biograficzne; dzieci te objąć opieką przez 7—8 lat i notować w ich teczkach wszystkie obserwacje. Po dwoje lub troje dzieci z takiego obwodu można by przydzielić studentom pedagogiki i studentom studium nauczycielskiego, zmieniających się co roku. W ten sposób można by dzieciom pomóc, materiały zbierać, a sensowną praktykę studentów przeprowadzać.

Takie zapisy szkolne i obserwacje dzieci przeprowadzane są od dawna w wielu krajach, które też od dawna szczycą się wysokim poziomem powszechnej oświaty i znakomitą sprawnością swoich szkół.

# ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

## prof. dr. STANISŁAWEM MASIOREM

### kier. Katedry i Zakładu Technologii Fermentacji na Politechnice Łódzkiej

**o:**

- **PIWOWARSKIM MILLENIUM**
- **ZMIERZCHU ANTAŁKA**
- **NOWYCH TECHNOLOGIACH**
- **BEZALKOHOLOWYM PIWIE PRZYSZŁOŚCI**

**— Czy można, Panie Profesorze, na początek postawić parę ogólniejszych pytań?**

— Bardzo proszę, o ile dotyczyć będą mojej specjalności...

**— Np. kiedy wychylono pierwszy kufel piwa?**

— O ile pamiętam to przed 5 tysiącami lat w Egipcie. Mówią o tym m. in. freski ścienne ilustrujące pierwotną fabrykację piwa za czasów faraonów.

**— A w Polsce?**

— W pierwszych latach istnienia państwa polskiego.

**— Będziemy więc obchodzić niebawem coś w rodzaju piwowarskiego millenium?**

— Można to tak żartem nazwać. Mówiąc na serio należy jednak przypomnieć, że dopiero wiek XIX pozwolił na rozwój nowoczesnego piwowarstwa na skalę wielkoprzemysłową. Wyróżnili się w tym zwłaszcza Niemcy i Czesi.

**— W jakim stopniu nauka łódzka przyczynia się do polepszenia jakości piwa w Polsce?**

— Zajmuje się tym właśnie moja katedra i zakład technologii fermentacji. Nasze zainteresowania naukowe to technologia i analityka przemysłu piwowarskiego, winiarskiego oraz kwasów: cytrynowego i mlekowego.

**— Jakie nowe technologie opracowano w katedrze dla tych przemysłów?**

— Mamy duże osiągnięcia z zakresu analityki produkcji koncentratów chmielowych dla piwowarstwa. Przygotowujemy też próby w skali produkcji przemysłowej w zakresie zabezpieczenia wieloletniej trwałości chmielu i oszczędności jego zużycia. Drugi temat, nad którym pracujemy a który ma duże znaczenie dla przemysłu — to skrócenie technologicznego toku produkcji piwa na drodze stabilizacji brzeczki. Chodzi o skrócenie okresu leżakowania piwa a przez to zwiększenie mocy produkcyjnych browarów. Ostatnio opublikowaliśmy w Biuletynie Międzynarodowego T-wa Winiarskiego w Paryżu prace na temat powstawania ubocznych produktów fermentacji w winach owocowych.

**— Czy w Polsce występuje brak piwa?**

— Nie tyle brak, ile przerost popytu nad podażą. Mimo iż browary pracują pełną parą a często powyżej swoich możliwości produkcyjnych, nie zaspokaja to w pełni potrzeb rynkowych. Sytuacja taka wpływa w dość wyraźny sposób na jakość piwa.

**— Czy to właśnie jest powodem, iż polskiemu piwu daleko jest do światowej marki?**

— Naszemu rynkowemu tak, bo eksportowe zjednuje sobie najwytrawniejszych nawet piwoszy na świecie. Zagraniczne piwa mają dłuższe okresy leżakowania, albo inaczej dojrzewania, podczas gdy nasze krajowe browary nie mogą sobie pozwolić na zbyt skrupulatne przestrzeganie wymogów technologii, ze względów właśnie na olbrzymie zapotrzebowanie rynku. Dlatego praca nasza nad skróceniem okresu leżakowania piwa w sposób jak najbardziej poprawny może przynieść dużą niespodziankę smakoszom.

**— Mówi się powszechnie, że rozlewanie piwa do butelek obniża jego wartość użytkową,**

**odbija się na smaku piwa, że tylko piwo nalewane bezpośrednio z antałka oddaje wszystkie zalety smakowe. Czy to prawda?**

— Nie. Dziś proces obciągania piwa do butelek jest tak udoskonalony (obciąganie izobarometryczne pod ciśnieniem CO-2 (bezwodnika węglowego), co wyklucza dostanie się powietrza), że nie zachodzi obawa zepsucia piwa. Prócz tego piwo eksportowe jest pasteryzowane, co zapewnia wielomiesięczną trwałość biologiczną, zabezpiecza przed wtórną fermentacją.

**— Jaki kraj uważany jest za królestwo piwa. Czechosłowacja czy Niemcy?**

— Po dziś dzień Czechosłowacja uważana jest za symbol klasycznego piwowarstwa.

**— W czym tkwi istota współpracy katedry z przemysłem?**

— W rozbudowie przemysłu piwowarskiego, wprowadzeniu nowych technologii oraz stałym poprawianiu jakości piwa poprzez zastosowanie korekty składu wody fabrykacyjnej.

**— Co jest światowym „konikiem" piwowarstwa?**

— Myślę, że to samo co u nas. Wysiłki naszej katedry zmierzają m. in. do opracowania technologii piwa lekkiego, o minimalnej (0,5 proc.) zawartości alkoholu. Piwo to byłoby idealnym napojem, znakomicie gaszącym pragnienie, dla sportowców oraz kierowców pojazdów mechanicznych.

**— Jak Pan Profesor zapatruje się na przyszłość tego napoju? Czy nie grozi piwu zdystansowanie przez różnego rodzaju napoje gazowane, orzeźwiające, wzmacniające itp?**

— Produkcja piwa na świecie stale wzrasta. Gdybyśmy nawet przyjęli, że będziemy ograniczać produkcję napojów alkoholowych, to zawsze pozostanie nam wytwórczość piwa lekkiego, bezalkoholowego (najwyżej 0,5 proc.). Piwo jest zbyt dobrym napojem, wysokokalorycznym, znakomicie gaszącym pragnienie, bardzo łatwo przyswajalnym przez organizm człowieka, aby ludzie mogli z niego zrezygnować. Nie wyparła go z rynku tak szeroko reklamowana coca-cola, nie potrafi chyba zagrozić mu i inna rewelacja z tego gatunku.

Rozmawiała

**K. WYRZYKOWSKA**

(Dalszy ciąg ze str. 1)

# Wołowskie RIFIFI...

Takich i podobnych tragikomicznych momentów na sali sądowej było wiele. Choćby na przykład oświadczenie, że po „przycichnięciu" sprawy bandyci zamierzali przesłać 50 tysięcy złotych anonimowo strażnikowi „bo się musiał przecież najeść dużo strachu i wycierpieć z kneblem w ustach i w więzach".

Spoglądając na tych ludzi, udających wpółzidiociałych tępaków, człowiek za głowę się łapie! Skąd u nich taki pomysł, skąd ten cały upór i konsekwencja z jakim ów pomysł do końca przeprowadzili?

Otóż, jeśli idzie o pomysł, to główny oskarżony M. Florianowicz stwierdził przed sądem, że nosił się z zamiarem „zrobienia" banku już od 1956 roku. Korzystając wówczas z uprzejmości dyrektora banku Florianowicz wespół z Kotowiczem trzymali w bankowym garażu samochód. „Dokonując pewnego razu przekopów dla doprowadzenia instalacji ogrzewniczej, myślałem sobie czy nie dałoby się podkopać do skarbca? — powiedział.

Z pomysłem tym nosił się Florianowicz przez sześć lat. Śniły mu się po nocach pięćsetzłotowe banknoty. Aż wreszcie na wiosnę tegoż roku postanowił przystąpić do dzieła. Przede wszystkim dla urzeczywistnienia swej obsesyjnej bez mała wizji wyłuskania z bankowego skarbca grubych milionów, należało skompletować doborowy zespół ludzi. Podkreślam, doborowy a nie byle jaki. Florianowicz sam będąc przecież poważanym właścicielem warsztatu radio-elektro-instalacyjnego rozejrzał się za podobnymi mu powszechnie szanowanymi rzemieślnikami miasta Wołowa okolic. Musieli to być ludzie dobrze sytuowani, tacy nie powinni wzbudzić niczyich podejrzeń.

Przewodniczący sądu pytał: — „Oskarżony był zamożnym człowiekiem (w ostatnich latach zmienił cztery razy samochód — dop. K. B.) więc po co mu były potrzebne pieniądze? Florianowicz odpowiedział: — „Na chleb miałem. Wyobrażałem sobie, że nikt nie rzuci na mnie podejrzenia. Miałem w Wołowie c z y s t ą opinię. Boli mnie, że od razu przy tym włamaniu wpadłem. Wolałbym pierwszy raz wpaść na czymś mniejszym, żeby dostać rok i otrzaskać się z więzieniem".

W tym miejscu maleńka dygresja. Często jesteśmy świadkami i uczestnikami takich „życiowych" dialogów: — „Jak ryzykować to tak, ażeby się opłacało". „Jak pójść siedzieć, to chociaż trzeba wiedzieć za co".

To „za co" nie jest w tym wypadku pytaniem, lecz spełnia funkcję retoryczną. Wydaje mi się, że ten tok rozumowania, ten typ postawy moralnej nie jest, niestety, wśród szerokiego ogółu naszego społeczeństwa wcale czymś incydentalnym. Spotykamy się z potępieniem przestępcy nie dlatego, że dokonał przestępstwa, lecz że dokonał go w sposób prymitywny, prostacki, lub że dał się tak bardzo głupio schwytać. Jest w tym więcej pogardy dla jego nieudolności niż dla jego etycznej postawy. Ba, żyjemy przecież w epoce kultu speców i wyżej cenimy kategorie techniki niż etyki.

Napisałem to i jestem przerażony. Czyżbym naprawdę miał rację? Wracajmy wobec tego do naszych wołowskich bohaterów. Mieczysław Florianowicz w jednej z rozmów zaproponował swemu znajomemu Józefowi Sójce, właścicielowi warsztatu rymarskiego, dokonanie włamania do banku. Rymarz nie podjął od razu decyzji, lecz bynajmniej nie z powodów natury moralnej. Po prostu wyraził pogląd, iż jest to sprawa wielce skomplikowana i należałoby się przedtem dobrze zastanowić. W kilka dni później M. Florianowicz wystąpił z analogiczną propozycją wobec Wiktora Kotowicza, właściciela taksówki, który na pytanie przewodniczącego sądu ile zarabiał, odrzekł prostodusznie: — „Wedle Wydziału Finansowego 1500 zł, a tak w ogóle to 6000 — 7000 zł miesięcznie".

Reakcja Kotowicza na propozycję Florianowicza była niemal identyczna jak u Sójki. A jeśli nawet miał on jakiekolwiek zastrzeżenia to sprowadzały się one jedynie do kwestii — czy istotnie tego rodzaju napad na bank ma szanse powodzenia?

Podczas wspólnych spotkań: radiotechnika, rymarza i taksówkarza cała trójka pospołu starała się rozwiewać wszelkie wątpliwości i zastrzeżenia, które się pojawiały. A problemów było rzeczywiście do licha i trochę. Należało ustalić takie okoliczności jak czas włamania, ilość osób rodzaj narzędzi, lokalizacja poszczególnych pomieszczeń i urządzeń bankowych, stan gotówki w skarbcu, zwyczaje i liczbę osób pełniących służbę wartowniczą itp.

Nasi in statu criminis bohaterowie zaczęli więc coraz częściej odwiedzać bank i penetrować teren swej przyszłej operacji. Rekonesans nie dodał im jednak otuchy, ale pozwolił dokładniej zorientować się w piętrzących trudnościach i przeszkodach. Lecz oni nie byli z tych, co się lękają trudności. Wiadomo — pionierzy nie tylko w skali Wołowa. Po pewnym czasie doszli do wniosku, że przydałby się dla towarzystwa wykwalifikowany ślusarz, który by się zajął przygotowaniem odpowiednich narzędzi do włamania. Udali się więc do właściciela warsztatu ślusarskiego w Obornikach Śląskich, Jana Jezierskiego. Jezierski po wysłuchaniu ponętnej propozycji dał swoje placet i zawodowe umiejętności wprzągł w służbę Florianowicza. Wkrótce jego warsztat zamienił się w arsenał i zbrojownię bandy. Kuto w niej stalowe rury, wiertła, raki, bolce i inne zbrodnicze narzędzia.

W tym samym czasie, kiedy Jezierski wyciskał z siebie siódme poty, konstruując zmyślne urządzenia, szef gangu M. Florianowicz zaprosił z kolei do swego warsztatu radio-elektro-instalacyjnego niejakiego Rudolfa Drewniaka i oświadczył mu, że planuje wraz z innymi włamanie do skarbca bankowego, którego tenże Rudolf Drewniak jest właśnie skarbnikiem. Zaproponował mu jednocześnie współudział stwierdzając, że rola jego będzie polegała na dostarczaniu informacji oraz odbitek kluczy do pomieszczeń bankowych. Zapewnił go nadto, że będzie partycypował w równym stosunku razem z innymi w podziale łupu.

To wystarczyło, aby Drewniak jako piąty z kolei przystąpił do bandy. Jako że był jednym z ostatnich kandydatów, więc szczerze przejął się swą rolą i robił co mógł. A owszem, mógł. Znał system alarmowy, stan gotówki w banku, zabezpieczenie i inne pomniejsze drobiazgi technicznej natury. I o dziwo, wcale nie pomyślał o tym, co się stanie z jego ośmiorgiem dzieci (bo tyle ich już zdążył spłodzić mimo swych 35 lat) w momencie kiedy włamanie się nie uda i będzie musiał pójść za kratki. Na swe usprawiedliwienie ma to, iż inni członkowie bandy też o tym nie myśleli, i że w ogóle wszyscy przestępcy o tym nie myślą. A szkoda. Na przykład siedmiu wołowskich włamywaczy osierociło 23 dzieci. Ale to już zupełnie inna historia.

W oparciu o arcyciekawe i wyczerpujące informacje Rudolfa Drewniaka banda przystąpiła do opracowania szczegółowego planu działania. Przedtem postanowiono dokooptować jeszcze dwóch młodych ludzi do „mokrej roboty". Ci mieli sterroryzować strażnika bankowego, związać, zakneblować mu usta i tak dalej zależnie od sytuacji, temperamentu i odwagi tego ostatniego.

Pierwotny projekt napadu przewidywał włamanie do skarbca przez sufit jak na filmie „Rififi". W żargonie złodziejskim nazywa się to „włamanie na parasol". Jednakże po próbie generalnej przeprowadzonej w pomieszczeniach Jezierskiego okazało się, że skonstruowane urządzenia nie zdają egzaminu. W wyniku konsultacji z Drewniakiem postanowiono dokonać włamania od dołu, z piwnicy, na tzw. „zapałkę". Drewniak bowiem przypomniał sobie, że dwa lata wstecz na skutek zacięcia się zamków wybito otwór w stropie piwnicznym. Wprawdzie otwór ten później zabetonowano, niemniej będzie on na pewno słabiej spojony ze starym betonem, da się łatwiej wykruszyć.

Włamania miano dokonać w nocy z dnia 21 na 22 lipca. Rymarz Sójka twierdził potem przed sądem, że do napadu tej nocy nie doszło z pobudek obywatelsko-patriotycznych.

Skądinąd wiadomo jednak, że dwaj wspólnicy Jan Chmiel z Wołowa i Stanisław Bezrąg ze Szczecina odmówili udziału w akcji i mimo usilnych próśb herszta bandy nie stawili się tej nocy w umówionym miejscu. W tej sytuacji termin włamania odroczono i postanowiono szukać nowych wspólników teraz już pośród krewnych. Mieczysław Florianowicz zaproponował udział we włamaniu swemu bratu Alfredowi, zamieszkałemu we Wrocławiu, Sójka zaś szwagrowi Mikołajowi Krzeczkowskiemu z Mikołajowic. Narzędzia przewieziono od Jezierskiego do Florianowicza i wyznaczono napad na 11 sierpnia 1962 r. Na kilka dni przed tym terminem banda zebrała się na naradę w lasku, obok sanatorium przeciwgruźliczego w Obornikach Śląskich. Podczas narady tej jeszcze raz przedyskutowano plan działania i podzielono się rolami.

Zgodnie z planem — wszyscy uczestnicy napadu mieli zaopatrzyć się w rękawiczki. Nadto osobnicy wyznaczeni do obezwładnienia strażnika bankowego mieli zgłosić się w oznaczonym dniu w godzinach przedpołudniowych do Mieczysława Florianowicza i przywieźć z sobą maski do zasłonięcia twarzy. Alfredowi Florianowiczowi polecono także zakupić i przywieźć z sobą sznur, ręcznik i chustkę, mające służyć do skrępowania strażnika i zakneblowania mu ust. Herszt bandy w przeddzień akcji miał ich wyposażyć w krótką broń palną.

I tym razem włamanie nie doszło do skutku. W pierwszym rzędzie dlatego, że w banku — według informacji Drewniaka — znajdowała się kwota tylko 3 milionów złotych, a ponadto zawiódł i nie zjawił się jeden z uczestników napadu. Wobec tego postanowiono uzupełnić sprzęt i postarać się o jeszcze jeden pistolet. W dniu 18 sierpnia zjawili się w Wołowie: Alfred Florianowicz i Mikołaj Krzeczkowski. Pierwszy był laborantem, drugi magazynierem na budowie. Pierwszy otrzymał pistolet typu „FN" kaliber 6 mm, drugi pistolet systemu „TT" i 5 sztuk amunicji. Uroczystego aktu wręczenia dokonał sam herszt.

18 sierpnia około godziny 22 przed budynkiem NBP w Wołowie zjawili się Mieczysław Florianowicz, Alfred Florianowicz oraz Mikołaj Krzeczkowski. Ponieważ bandyci stwierdzili, że wewnątrz ktoś się jeszcze znajduje, a na zewnątrz bawią się dzieci włamanie odłożono do następnej nocy.

W niedzielę, 19 sierpnia podobnie jak dnia poprzedniego cała trójka udała się przed budynek banku. Wewnątrz światła były wygaszone, a na zewnątrz panował spokój. Alfred Florianowicz i Mikołaj Krzeczkowski weszli od podwórza do budynku bankowego. Pierwszy ukrył się w ubikacji, przylegającej do korytarza, drugi zaś schronił się na schodach piwnicznych. Obaj bandyci byli oczywiście zamaskowani i uzbrojeni w pistolety.

Punktualnie o godzinie 22 Alfred Florianowicz spostrzegł przez okno ubikacji strażnika bankowego zbliżającego się do drzwi wejściowych. W momencie kiedy strażnik wszedł do korytarza obaj napastnicy doskoczyli do niego i trzymając w rękach pistolety wezwali do podniesienia rąk i zachowania ciszy. Następnie odebrali mu klucze od pomieszczeń bankowych oraz pistolet i zeszli do piwnicy, gdzie związali mu ręce i nogi sznurem, zakneblowali usta chustką do nosa, przewiązali twarz ręcznikiem i wreszcie przywiązali go do znajdującego się w ścianie żelaznego haka.

Po obezwładnieniu strażnika zgasili światło żarówki palącej się nad drzwiami wejściowymi do banku. Na ten sygnał Mieczysław Florianowicz przeciął specjalnie przygotowanymi nożycami siatkę ogrodzenia. Przez otwór ten wspólnie z Sójką wnieśli do banku narzędzia przywiezione tymczasem taksówką Kotowicza. Po wniesieniu narzędzi bandyci zamknęli drzwi od wewnątrz na sztabę metalową. Krzeczkowski i A. Florianowicz prowadzili obserwację na zewnątrz budynku, a M. Florianowicz wspólnie z Sójką przystąpili do przebijania otworu w stropie. Następnie otworem tym wdarli się do skarbca, wyłamali drzwi kasy pancernej i zaczęli wypełniać worki gotówką. Sójka na widok tylu pieniędzy podobno dostał szoku i zaczął tańczyć hopaka w bankowej piwnicy. Następnie ze strachu miał przez trzy dni biegunkę.

Po napełnieniu worków paczkami banknotów i zatarciu śladów sprawcy przedzwonili z telefonu znajdującego się w banku do mieszkania Kotowicza i polecili mu natychmiast przyjechać pod budynek. Kiedy Kotowicz podjechał uczestnicy włamania załadowali zrabowane miliony do samochodu i samochodem tym udali się na miejsce, gdzie czekał już na nich Jezierski. Po spotkaniu nastąpiło szybkie przeładowanie gotówki z samochodu Kotowicza do samochodu Jezierskiego. Działo się to około godz. 4 nad ranem. W trakcie przeładunku doszło do ostrej scysji między bandytami na tle podziału łupu. Spór zażegnał M. Florianowicz grożąc użyciem broni w razie niesubordynacji.

Kotowicz otrzymał od M. Florianowicza milion złotych i odjechał w kierunku Wińska z zadaniem zatopienia sprzętu którym się banda posługiwała. Resztę uczestników Jezierski podwiózł pod dom Sójki, gdzie bandyci umyli się, przebrali w nowe garnitury, starą odzież natomiast spalili w piecu centralnego ogrzewania. Jezierski zostawił Sójce dwa duże worki pieniędzy i odjechał do swego domu ukryć resztę gotówki w schowku specjalnie już na ten cel przygotowanym. Zgodnie bowiem z planem podział zrabowanych milionów miał się odbyć w okresie późniejszym. Potem okazało się, że przygotowany schowek był jednak zbyt mały.

Teraz dopiero zaczęły się prawdziwe kłopoty i paraliżujący strach, którego zaślepieni żądzą posiadania milionów bandyci nie wzięli w ogóle w rachubę. Do Wołowa zjechała czołówka polskich detektywów. Korzystając z okazji szyli sobie nowe kabury do pistoletów u rymarza... Sójki. Maszyneria śledztwa konsekwentnie i z uporem krok po kroku posuwała się do przodu. W laboratoriach kryminologicznych bez przerwy dzień i noc pracowały mikroskopy. Na podstawie znalezionych w kotłowni banku klocków określono typ i siłę narzędzi do przebicia stropu. Kiedy chłop ze Smogorzewa znalazł ten sam typ podnośnika na swoim polu ustalono więc już tylko numer fabryczny i w ciągu paru dni na podstawie trzech tysięcy podnośników rozprowadzonych po kraju drogą eliminacji odnaleziono ekspedientów, którzy te właśnie podnośniki sprzedali włamywaczom. Podczas konfrontacji sprzedawcy bezbłędnie wskazali na swoich klientów: Sójkę i Jezierskiego. Następnie zrekonstruowano ślady protektorów opon samochodu Kotowicza. Ustalono także serie i numery banknotów. Nowe 500-złotowe banknoty zabrane ze skarbca posiadały serie „AP" i „AR", zaś banknoty 100-złotowe serie „DJ" i „DK" oraz „DR". Numery skradzionych banknotów mieściły się od 4.000.000 do 10.000.000 oraz od 000.01 do 2.650.000.

Ustaliwszy serie i numery banknotów w pewnym sensie uniemożliwiono bandytom wydatkowanie gotówki zrabowanej w wołowskim banku. Personel jednostek handlowych zobowiązany został do zwracania uwagi na serie i numery banknotów inkasowanych przy sprzedaży artykułów.

Dnia 1 października 1962 r. w godzinach popołudniowych ekspedientka sklepu PSS w Kluczborku, Maria Koszałowska powiadomiła miejscowy posterunek MO, iż zatrzymała nieznaną jej bliżej kobietę, która usiłowała zapłacić za kupioną w sklepie narzutę na tapczan nowym banknotem 500-złotowym z serii AP. Zatrzymana okazała się Alojza Florianowicz, żona szefa bandy. W trzy godziny później Mieczysław Florianowicz znalazł się w rękach milicji. Resztę już wiemy z prasy codziennej.

Morał z tego wynika zaś taki jak z owym pacjentem: „operacja się udała, a chory zmarł". Włamanie się udało, ale ptaszki siedzą w klatce. Pieniądze zaś wróciły w całości do banku. Rozliczenie odbyło się w sposób jawny i doraźny. Bilansu dokonał Sąd Wojewódzki we Wrocławiu.

**K. BADZIAK**

Fot. St. Słowik

BERNARD SZTAJNERT

# MISTERIUM WYBACZANIA

Był sobie pewnego razu czarodziej, czarodziej i książę w jednej osobie. Zagłębiony w czarodziejskich księgach utracił swe księstwo i wygnany uszedł z małą córeczką na bezludną wyspę... To początek baśni o dobroci, której formą staje się wybaczenie. Baśń bowiem jest nam pokazana nie od początku historii czarodzieja, ale od chwili kiedy szykuje się on już do powrotu, poinformowany przez wymowne dla czarodziejów gwiazdy o tym, że będzie mógł walczyć, zwyciężyć i wybaczyć. Prospero walczy i zwycięża dzięki czarom. Ale do wybaczenia czary nie wystarczą — wybaczyć może tylko dzięki sobie samemu, dzięki „sobie bez czarów", bo wybacza wiedząc, że stanie między pokonanymi wrogami jako człowiek.

Czy takiego pojednania z ludźmi pragnął sam Szekspir? Może dlatego pod koniec życia napisał „Burzę"? On, który zawsze pisał o innych i dla innych, napisał pożegnalną sztukę o sobie dla innych. I on także odrzucił czary i rozbroił się, gdyż w sztuce pożegnanie oznacza bezbronność, nagą bezbronność — sztuka bowiem jest zapowiedzią, jest powitaniem — im większa sztuka tym mniej w niej spełnienia.

Prospero zna los dzięki gwiazdom, zwycięża dzięki czarom. Widać jednak, że gwiazdy bywają kłamliwe, a czary zawodne, gdyż Prospero bezustannie powtarza „mój czar działa" tak jakby dopiero w czasie tego działania nabywał wiary, tak jakby naprawdę wierzył tylko faktom. Ten mędrzec zabrał chyba do swojej wygnańczej łodzi obok czarodziejskiej różdżki i magicznych ksiąg dzieła Franciszka Bacona. Mieczysław Voit — Prospero widziany na scenie Teatru Nowego nie tylko rozważnie gra. On także rozważa swoją grę — myśli na scenie i gra ten namysł, namysł Prospera i namysł Aktora. Jego przyszli współludzie są do pewnego czasu, do czasu ponownego uśpienia „tylko wrogami". Po to przecież, nawet o tym nie wiedząc przybyli na wyspę, by wielki, prawdziwie wielki Prospero miał wreszcie przed sobą wrogów, których mu tu nie stało. Prospero jedyny z postaci sztuki jest wielki nie tylko dobrocią, ale także najsilniejszą z możliwych świadomością. Inni śpią. Śpią nie tylko wrogowie — śpi także Miranda, a jeżeli się budzi na widok Ferdynanda, to natychmiast padają nad nimi słowa Prospera „mój czar działa": tak jakby ich miłość była nie przebudzeniem, lecz przejściem z jednego snu w inny bowiem, „wszyscy jesteśmy z tej samej co sen materii". Trinkulo i Stefano śnią na jawie sen swych pijackich majaczeń, chodzący po wyspie król dostojnie dozuje swą ojcowską boleść — nigdy nie krzyknie głosem żywego, przytomnego bólu, Sebastian i Alonso snują swe knowania na zasadzie półprzytomnego, automatycznego nawyku. Stosunkowo przytomny, choć także podległy majakom wydaje się Kaliban — to on przecież kieruje krokami swego boga Stefana. To on, choć pijany, jest praktycystą zbrodni, praktycystą skazanym na współpracę z jej fantastami. I on przecież śni i zbudzi się dopiero w ostatniej scenie.

„Burzę" w Teatrze Nowym oglądamy w całej możliwej jej jasności — tej jasności scenicznej wizji służy bezustanne intensywne oświetlenie sceny, wydobywające precyzyjnie każdy przedmiot, każdy rys postaci i fałdę stroju, służy jej doskonale wypracowana dykcja i nośność słów i sylwetka Prospera, bardziej racjonalisty niż maga. Ta właśnie jasność prześwietla korowody sennych i półsennych sylwetek tak jak spojrzenie Prospera.

Ludwik Benoit jest — jak na syna diabła i czarownicy bardzo sympatyczny. Wydaje się, że ten ludzki Kaliban nie ma w sobie innego zła, niż to które wynika z niewiedzy. Wydaje się też, że jego przejrzenie po obudzeniu będzie najtrwalsze — takie w jakim utrzyma go jego praktyczny, konsekwentny umysł.

Obecne w sztuce duchy nie stanowią sił dramatycznych — one są tylko dokumentacją czarów Prospera. Prawdziwe, duchowe misterium odbywa się w świecie ludzi — jest to misterium dobroci, misterium przebaczania. Prospero wybaczył wszystkim i tym obudzonym i tym jeszcze śniącym sny nienawiści. Dobra była skrucha tych, o których żalu nic nie wiemy, co więcej — jest ono tak ekspansywne, że ogarnia nawet dobrych i tych, którzy nie są ani dobrzy ani źli — są jedynie piękni. Wybaczenie to żywa, natrętna moc — nie ostoją się jej nawet ci, którym nie ma co wybaczyć. Prospero mógł wszystkim wybaczyć, bowiem z wszystkimi walczył i wszystkich zwyciężył, choć o tym im nie mówił. Powiedział im tylko to, że im wybacza — powiedział im to wyraźnie i prawdziwie, a potem kazał im wszystkim odejść i pozostał sam na scenie.

Mieczysław Voit w roli Prospero
Fot. G. Puciato

Publiczna biblioteka im. Achundowa

JAN HUSZCZA

*Baku a la minute (II)*

# Przeszłość i teraźniejszość

A więc przechodzę przez skwer, wśród drzew widząc i kilka palm, wspinam się pod górę uliczką wzdłuż muru twierdzy, kremowego z nalotem jakby sadzy, muru z XII wieku, aby znaleźć się na wzgórzu najstarszego Baku, w dzielnicy najbardziej charakterystycznej, przypominającej mniej więcej to wszystko, co się widywało na ilustracjach książek o Wschodzie muzułmańskim i na różnych filmach. Wzgórze wieńczy zespół świetnych zabytków, między którymi prześwituje i zatoka, nazwanych „zespołem pałacu Szirwanszachów", zbudowanym w zasadzie za panowania szacha Chalilully (1417 — 1462).

Z niektórych podwórzy, a na jednym z nich spotykam i rozczapierzoną wierzbę niedużego wzrostu, doskonale widzę wzgórze z Kirowem i sąsiadujący ze wzgórzem maszt telewizji.

Kompleks wywołujący wrażenie piękna surowego, ściśle zorganizowanego, zresztą odpowiadającego zapewne charakterowi władców. Budynki z jakiejś odmiany wapienia o bardzo geometrycznej brylastej konstrukcji, nad którymi jak ciężkie hełmy leżą kopuły, przypominające ścięte konusy pocisków artyleryjskich. Kilka podwórzy na różnych poziomach, ale ściśle ze sobą połączonych. Sterczy nad kompleksem wieża minaretu o wys. 22 metrów, sygnalizująca meczet. Piętro pałacu składa się z 25 pokoi, które zajmował szach, parter ma 27 pokoi dla służby. Jeszcze trzeba wymienić łaźnie (niestety, częściowo zrujnowane), grobowce i salę sądową, otoczoną koliście korytarzem z ostrymi narożnikami i o łukowatych oknach, to w tej sali zapadały krwawe, jak można przypuszczać, wyroki.

Również i styl wielu budowli współczesnych cechują założenia i szczegóły, wywodzące się ze sztuki muzułmańskiej z wpływami arabskimi zwłaszcza w płaskiej ornamentyce, kunsztownej i dekoracyjnej, rozwijającej motywy z tak pięknych na Wschodzie dywanów i wyszywanych materii jedwabnych turecko-perskich, które nieraz musiały stanowić źródło natchnień architektów i budowniczych.

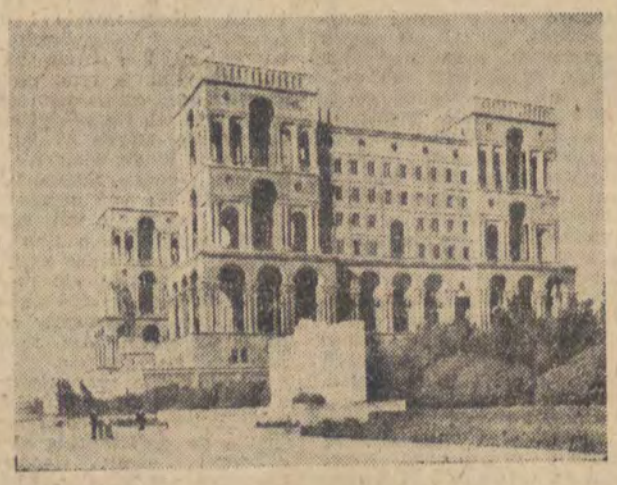

Budynek rządowy

Linearne przedstawienia i efektowne kolory; freski; strzeliste łuki arkad; tympany z mozaiką lub płaskorzeźbą; obejmujące ściany szlaki ze stylizowanych napisów arabskich, będących cytatami z Koranu — oto co dostrzega się w zabytku architektury. Podobno najbogatszą w zabytki jest — poznana, niestety, poprzez książkę — Nucha.

Uliczki wokół zespołu pałacowego wąskie, domy otaczające maleńkie podwórka komunikują się ze sobą plątaniną schodów, spotykają się nad uliczkami za pośrednictwem balkonów i zwisającego z nich, splecionego na kształt korzeni, winogradu.

W tych uliczkach, a raczej zaułkach, czarniawe dzieci o ciemnych oczach bawią się w piłkę nożną, w pobliżu zaś, po zabytkowych podwórzach poważnie błądzą zwiedzający mężczyźni w towarzystwie starszych kobiet o wyglądzie zakonnic. Taki bowiem wygląd nadają im narzucone na barki i głowę duże płachty czarnych chust. Niewiele jednak tych zwiedzających, a nastrój szacunku na moment rozchwierutała jakaś wycieczka szkolna, wesoło szczebiocząca, złożona z azerbajdżańskich i rosyjskich dziewcząt. Zajrzeliśmy kiedy indziej — oczywiście, przed tym upewniwszy się w myślach co do stanu swoich skarpet, gdyż pamiętaliśmy o obowiązku zdjęcia bucików — do meczetu. Uprzedzono nas, iż jeśli w tym czasie byłoby nabożeństwo, to nasze towarzyszki muszą wejść do meczetu oddzielnie. Nabożeństwa nie było, w meczecie przeprowadzano remont i modlących się, siedzących w kucki przed mikrabem, nisza, wskazującą kierunek na Mekkę, trzymających przed sobą święte księgi, zastaliśmy nie wielu.

Za to w czajchanach — herbaciarniach zawsze było pełno, są one w naszym rozumieniu kawiarniami. Mężczyźni z nakrytymi głowami popijają powoli święta herbatę, barwiącą intensywnym brązem szkło szklanek, rozmawiają półsenni, aby nagle wejść w ożywienie. Na ladzie, pod daszkiem z blachy lśnią dwa olbrzymie samowary, rozgrzewane jednak, jak się okazało, nie węglem drzewnym ale gazem. Zresztą, czajchany, w których piłem herbatę ( w restauracjach bowiem o dobrą równie trudno jak i u nas) mieściły się w lekkich nowoczesnych pawilonikach.

Zwiedzamy, rzecz jasna, bogate Muzeum Historii Azerbajdżanu i interesujące Muzeum Literatury im. Nizami (Abu Mahomet Iljas bez Juzuf, poeta z XII wieku), ale jakże pobieżnie, choć niejeden eksponat zasługiwałby na całe kwadranse, wymagające uwagi oczu i wewnętrznej pracy percepcyjnej. Mój Boże, jeszcze raz myślę z goryczą, oto i tym razem przeszłość woła różnymi zda

ARNOLD SŁUCKI

# NOWE WIERSZE

* * *

To było jego szczęście:
ni czerni już
ni bieli.

Nie zbudził się,
dzień w niego spłynął
przez usta
do ciemnych płuc
i jelit.

Był ciszą cały,
gdy świata zamarł krzyk,
czasów, co się pożarły
nad ranem,
niby dwie siostry o lustro.

## JAK TY

Sępie, wykłujesz światłu oczy,
żal mi ciebie, sępie,
nie żal.
Kołuj sępie, ścierwem
się tucz!

Rzekłem sobie: trzeba żyć,
sępie, jak ty — ja w końcu.
Ale ten zegar, ta wieża,
dziób w słońcu.

Tu zgarniam
chmury złotego pierza.
o światło myśl strzępię.
Żal mi ciebie, sępie,
nie żal.

rzeniami i językami, barwami i ornamentami, znakomitymi realizacjami talentów i natchnienia, a nie ma się dla niej czasu!

W Muzeum Literatury o ścianach obwieszonych malunkami i dywanami, których treść stanowią także i portretowe przedstawienia bohaterów różnych poematów, dość o co dla nas brzmią wspaniałe nazwiska protoplastów literatury azerbajdżańskiej, w różnych okresach tworzących w różnych językach (tu o swoich klasyków mogłyby zapewne sprzeczać się rozmaite narody), gdyż język do którego można się bezpośrednio odwołać, współczesny azerbajdżański stał się literackim dopiero pod koniec XIII wieku.

Już nie wspomnę o skomplikowanych nawarstwieniach dziejów przenikających się z dziejami, nieraz jakże krwawymi, różnych państw i plemion, i o ich walkach nawet z legionami, mówiąc niefrasobliwie, któregoś tam z Pompejuszów, gdyż mógłbym popełnić wiele gaf, a wiem przecież, że polska orientalistyka ma swoje tradycje i bogaty dorobek, nie wolno więc mnie, zupełnemu laikowi, ryzykować! Urocza, filigranowa pani, oprowadzająca nas po Muzeum Literatury pytała o prof. Ananiasza Zajączkowskiego, zaś towarzyszący nam w tym nieomal biegu przez sale Muzeum dyrektor, prof. Hamid Arasly ( i tym razem nie ręczę za prawidłową transkrypcję) musiał chyba trochę dziwić się naszej ignorancji choć z dużą gotowością obdarzył nas swoją pracą, przetłumaczoną na rosyjski pod tytułem: „Wielki azerbajdżański poeta Fuzuli"....

Czyta się, ceni i czci tutaj pisarzy! Ich nazwiska noszą liczne ulice i skwery, na placach widuje się ładne pomniki, w zewnętrznych wnękach — loggiach biblioteki im. dramaturga Mirzy Fatha Ali Achundowa widzi się postacie klasyków.

Trzeba więc tylko naszym miłym informatorom powiedzieć: dziękuję czyli sag ol! (Wymawia się pono: sar ol!) I pędzić na przedstawienie do Teatru Opery i Baletu na operę „Leila i Medżnun", wysnutą z motywów poematu Nizami.

W Operze powoli przyzwyczajamy się do jękliwej, jak na nasze upodobania, muzyki, do nieszczęśliwego kochanka Medżnuna, śpiewającego przez cały czas falsetem. Szybko natomiast wczuwamy się w jej niezbyt skomplikowaną treść (nawet bez pomocy streszczenia sztuki po azerbajdżańsku i po rosyjsku, zawartego w dwujęzycznym programie), a oczy chciwie i z zadowoleniem chłoną kolorowe bogactwo i fantazję strojów reprezentujących całą gamę ubiorów właściwych narodowościom, należącym do grupy turecko-tatarskich języków.

Widzowie, składający się przeważnie z mężczyzn, przeżywają operę żywo, od czasu do czasu gestem i głośnym szeptem uczestniczą w perypetiach smutnego bohatera, któremu — jak i w naszej dawniejszej literaturze — mizerna sytuacja majątkowo-społeczna nie pozwoliła na szczęśliwe połączenie się z ukochaną.

Chyba nie od rzeczy będzie tu wspomnieć, iż nasz Felicjan Faleński — tęgi poeta a jeszcze tęższy, choć gorzki, satyryk — ma wiersz również oparty na tym motywie. Oto początek utworu zatytułowanego... „Medżnun i Leila":

„Nikt szaleństw takich — powiem państwu szczerze —
Ani nie spełnił ich tyle,
Co Medżnun, który w dziwnie srogiej mierze
Kochał swą boską Leilę.
O niej sam z sobą gadał w głos na jawie
I przez sen także w namiocie.
O niej lecące brzmiały mu żurawie,
W nią z nim patrzyły gwiazd krocie..."

**JAN HUSZCZA**

**WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ**

# Niesentymentalni bohaterowie

Sentymentalizm czyli racja serca ma prawie zawsze słuszność, która jest nie wystarczająca. Dlatego jesteśmy nieufni w stosunku do wszystkiego, co narzuca nam sentymentalizm, będący pośpiechem w ocenie moralnej i jednostronnością widzenia czyli przeważnie — uproszczonym rozgraniczeniem pojęć dobra i zła.

Gdyby trzymać się zeszło wiecznych sentymentalnych wzorów, to po przeczytaniu książki Tadeusza Papiera „Magdalena w nocy" można by powiedzieć, że zło czyha na każdym kroku na Magdaleny, Mariole, Dzidki i Krychy. I słusznie. Czyha. Ale co z tego wynika? Jakie stąd konsekwencje natury praktycznej dla socjologów i wychowawców? Jakie konsekwencje natury artystycznej dla czytelników „Magdaleny", którzy z niecierpliwością wyczekiwali z tygodnia na tydzień na każdy następny odcinek „Odgłosów", w których niepodzielnie królowała „Magdalena"?

Za nic(?), z dobrego serca(?) „Mecenas" urzędujący przy stoliku kawiarnianym dawał wykolejonym dziewczętom pieniądze! „Ja, proszę pana, często ratowałem Hrabinę od głodu. Dawałem jej pieniądze. Nie pożyczałem, ale dawałem. Niech pan zapisze, że Mecenas dawał pieniądze. Za co? Za nic, proszę pana. Miałem i dawałem. Gdyby mnie pan poprosił, też bym panu dał. Może pan wzruszać ramiona mi. Nie zależy mi na pańskim uznaniu. Mówię tylko jak było".

Ciotka z Chojen, stręczycielka i wróżka w jednej osobie, również z dobrego serca udzielała tym dziewczętom lokalu i noclegu: „Owszem, przyznaję. Spali, kiedy mieli jechać na ten Fis. Tak, wszyscy troje, Mary, Andrzej i Gienio. Czy to przestępstwo, użyczyć komu noclegu? Pierwszy raz o tym słyszę. Czy pan by nie przenocował córki albo syna sąsiadów?". I dalej (mówi ciotka z Chojen): „Co miałam robić? Wyrzucić ich na śnieg i mróz? Pan miałby serce?".

A więc, ciągle serce i serce! Konkluzja zawarta jest w opinii tejże ciotki z Chojen: „...młodzież jest dobra. Nawet ta najgorsza. Tylko okoliczności sprawiają, że młodzi ludzie schodzą na manowce".

Poniektórzy „moraliści" pomawiają młodzież z kręgów Boruty i Magdaleny o niezdrowy erotyzm. Warto, żeby ci panowie zapoznali się z ankietami, jakie na temat miłości i erotyzmu przeprowadza się w tygodnikach społeczno-kulturalnych we Francji. Z pewnością załamaliby ręce. Nie chcę zresztą bronić tej strony życia wykolejonej młodzieży. Klucz do rozwiązania podsuwa nam ta młodzież sama: „Ależ, Mariola, tak nie można żyć!" woła w przystępie przerażenia Magdalena uświadamiając sobie beznadziejność swej sytuacji życiowej. Zaś Mariola daje wyraźnie do zrozumienia, że rozsądne zabiegi pedagogiczne z pozycji przyjaźni mogłyby przywrócić trudną młodzież społeczeństwu: „Sama nie wiem, skąd mi się bierze taka rzewność, gdy ktoś do mnie podchodzi z sercem".

Tym sentymentalnym kluczem nie da się jednak rozwiązać i uzdrowić nurtującej pewną część młodzieży choroby społecznej. Pozostaje zasadnicze dla diagnozy pytanie: Kto ponosi odpowiedzialność za degrengoladę Boruty, Magdy i innych, młodzieży, której obraz, wycinek życia, flash daje Tadeusz Papier w „Magdalenie"? Matka bohaterki oświadcza przed sądem: „To mnie sądźcie, nie ją!" Mecenas umywa ręce: „Czy to ja jestem winien, że jedna i druga uciekły z domu? Ja je wypędzałem? Ja im kazałem przerwać naukę? Ja je skierowałem na ulicę?"

Na marginesie tych deklaracji muszę powiedzieć, że najbardziej właśnie podoba mi się w książce Tadeusza Papiera dyskretna przewrotność niektórych postaci i złośliwość autora. Szkoda tylko, że pisarz zbyt rzadko ujawnia się w wypowiedziach „Mecenasa" i „Ciotki" ukrywając się prawie zawsze za swymi bohaterami, jak gdyby przestrzegając surowych reguł obiekty wizmu.

Po tej dygresji wracam do naczelnego pytania tej interesującej książki, pytania, które przewija się między wierszami od pierwszej do ostatniej stronicy: Kto winien?

I po tym pytaniu dochodzę do przeświadczenia, że „Magdaleną" powinni zainteresować się przede wszystkim — socjologowie. Sto siedemdziesiąt trzy stronice książki Tadeusza Papiera to kapitalny materiał do analiz i roztrząsań socjologów na tematy tzw. trudnej młodzieży, na temat „dzikich pól" na ul. Piotrkowskiej itd.

Nie jest obowiązkiem pisarza dawać odpowiedź na dręczące pytania dzisiejszości. Pisarz spełnia swój obowiązek, gdy wykrywa i stawia problem.

W „Magdalenie w nocy" problem łódzkiej trudnej młodzieży został postawiony z całą jaskrawością. Sformułowanie zagadnienia, wyrazistość problematyki, postacie, realia i przebieg akcji są tak ostre, że czytelnik od pierwszych kart tej dramatycznej opowieści może odnieść wrażenie, że ma przed sobą zbeletryzowany reportaż, zapis losów, które zostały „odpisane" z życia (żeby posłużyć się terminem Karola Irzykowskiego, który przypisując Zofii Nałkowskiej w pewnym okresie jej twórczości „odpisywactwo" łączył z tym pojęciem pejoratywną kwalifikację).

Wiadomo jednak skądinąd, że materiał zgromadzony przez Tadeusza Papiera trybem skrzętnych badań akt sądowych i milicyjnych oraz wywiadów z czynnikami powołanymi do nadzoru i opieki nad młodzieżą, został przetworzony przez pisarza na prawach fikcji powieściowej. Czym się więc tłumaczy i skąd pochodzi ta ostrość rysunku, żeby nie powiedzieć — brutalność opisu, która sprawia wrażenie nagiej prawdy reportażowej? Sądzę, że opis w „Magdalenie" jest odbiciem brutalnego stylu życia, w ramach którego żyje opisywane środowisko. Liryczne wstawki, pseudofilozoficzne refleksje i tym podobne tricki przybliżyłyby prawdopodobnie „Magdalenę" do gatunku powieściowego. Ale czy nie straciłaby na tym oryginalność i prawda życia zawarta w tej dramatycznej łódzkiej opowieści?

**WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ**

**Tadeusz Papier: „Magdalena w nocy", Wydawnictwo Łódzkie, 1962 r.**

czy Kowiec

# BIG-BEATU?

**ANDRZEJ MAKOWIECKI**

**Elvis Presley**

Big-beat ma swoich protektorów. Wielkimi jego przyjaciółmi są ci muzycy i teoretycy, którzy w jego egzystencji widzą źródła swych dochodów. Z nich to właśnie wzięła swój początek popularna już w tej chwili teoria pośredniego umuzykalniania młodych. Wygląda ona tak: szesnastoletni chłopak (lub dziewczyna) przez pięć-sześć lat słuchał będzie big-beatu. Po upływie tego okresu czasu big-beat przekaże chłopca jazzowi, który przecież niejednokrotnie już podzielił się słuchaczami z klasyką. Czas pokaże, czy teoria jest słuszna czy też nie. Wydaje się jednak, że słuchający przez sześć lat big-beatu młodzieniec osiąga taki stopień znieczulenia na muzykę, iż z chwilą dojścia do wieku „powagi" będzie mógł słuchać co najwyżej — i to jednym uchem — „Mazowsza" lub sentymentalnych melodii Przybylskiej. Najwięcej jednak zawdzięcza big-beat tej młodzieży, która widzi w nim najdoskonalszy akompaniament do swego stylu bycia i życia. Młodzież ta dopatruje się w big-beacie szczytu nowoczesności, a rocki i twisty przyjmuje jako zjawisko mogące mieć miejsce tylko w drugiej połowie XX wieku. Najgorzej jest z tą grupą młodych, która przyjmuje big-beat bezkrytycznie gotowa jest przypisać mu wartości artystyczne, już chociażby przez sam fakt ogromnej jego popularności. Niezainteresowani innymi gatunkami muzyki młodzi ludzie podejrzewają, że ataki kierowane w stronę ich muzyki są wynikiem zazdrości muzyków i słuchaczy z innych środowisk muzycznych, są w końcu gotowi pomyśleć, że big-beat jest muzyką przyszłości. Absurdalności tego rodzaju pojęć dowieść nietrudno.

W świecie muzycznym od dawien dawna mówi się i pisze o niemal całkowicie wyeksploatowanym już systemie dur-moll. Eksperymenty przeprowadzane w dziedzinie współczesnej muzyki koncertowej nie są wcale tak bardzo pozbawione sensu jakby się mogło pozornie wydawać. Celem kompozytorów atonalnej muzyki dodekafonistycznej jest dążność do odnalezienia jakiegoś trzeciego wymiaru w muzyce, dążność do odkrycia nowego, nadającego się do eksploatacji źródła, które otworzyłoby przed muzyką nowe perspektywy rozwoju. O tym samym marzył z pewnością czeski kompozytor Alois Haba (ur. 1893 r. ) proponując system ćwierćnutowy, a więc zamiast dwunastu, dwadzieścia cztery dźwięki w obrębie jednej oktawy. Big-beat tendencji eksperymentatorskich nie przejawia, czemu dziwić się nie należy. Większość rocków i twistów oparta jest na zapożyczonym z jazzu szablonie bluesowym, w którego dwunastu taktach spotykamy tylko trzy akordy, zaś szablon ten jest od 60 lat eksploatowaną przez jazz cząstką, cząstką podporządkowaną w dodatku wyczerpanemu systemowi durmoll. Brak więc w big-beacie jakichkolwiek cech nowatorstwa muzycznego. Prymitywne a wzruszające i na pewno nie wulgarne bluesy nowo-orleańskie zdecydowanie zmieniły swój charakter w erze swingu. Jazz nowoczesny okrasił formę bluesową całą masą nowych, niezwykle ciekawych akordów. Stąd też jest muzyką ambitną i trudną, wprowadzającą bardzo często w zakłopotanie nawet wytrawnego słuchacza czy krytyka. Wielu z zainteresowanych zada z pewnością pytanie: czemu to w big-beacie nie można by dokonać pewnych urozmaiceń? Przypominam tu sobie rozmowę jaką miałem możność prowadzić z Markiem Sartem — znanym polskim kompozytorem muzyki rozrywkowej. Rozmowa dotyczyła big-beatu. Sart napisał muzykę do filmu, w którym jedna z melodii miała wykonać refrenistka przy akompaniamencie zespołu Czerwono-Czarnych. Skarżył się, iż zespół wyrzucił z akompaniamentu większość jego akordów i zastąpił je najprostszym szablonem. Big-beat nigdy nie będzie sztuką, jeśli jego wykonawcy w ten sposób będą traktowali każdy, cokolwiek bardziej skomplikowany utwór. Trudno potępiać jednak również Czerwono-Czarnych w ich dążności do uproszczenia harmoniki, albowiem w wypadku odejścia od prymitywu big-beat przestałby być big-beatem, a stałby się po prostu jedną z form niewinnej muzyki rozrywkowej. Odchodząc od prymitywu big-beat przestałby tak silnie działać na słuchacza, a na tym zależy mu najbardziej.

Młodzież widzi w big-beacie uosobienie nowoczesności i oryginalności. Grającym big-beatowcom wydaje się, że ich muzyka jest pierwszą formą dźwiękową wywołującą szał widowni. Odbiorcy zaś tkwią w przeświadczeniu, że ich sposób reagowania na big-beat jest zjawiskiem w historii muzyki zupełnie nieznanym. Mylą się jednak zarówno pierwsi jak i drudzy. Z przebiegu epidemii tarantelli w średniowiecznych Włoszech wynika, iż już w zamierzchłych czasach muzyka wywoływała u ludzi stany pozanormalne. Oto fragment pracy „Suge-

Dokończenie na str. 8

# Czy koniec big-beatu?

Dalszy ciąg ze str. 7

stia a muzyka": „Z opisów i szczegółów powstania tarantelli widać, że w różnych miejscowościach przybierała ona rozmaite natężenie. W jednych przypadkach przebiegała ona łagodnie, w innych zaś miała wszelkie znamiona szaleństwa i opętania. Dużą rolę w każdym poszczególnym przypadku odgrywała muzyka. Byli pewni zawodowi taranteliści, którzy swoją muzyką zarażali słuchaczy, doprowadzając ich prawie do szału".

Tak więc zjawiska szaleńczego reagowania na muzykę nie można w żadnym wypadku uznać za objaw nowy, wynikły ze specyfiki współczesnego życia. Niepokojącym zjawiskiem jest jednak siła zaangażowania się naszej młodzieży w big-beat. Jest bardzo wielu młodych ludzi marzących o wielkich karierach muzycznych, z całej jednak plejady naśladowców Presleya czy Checkera zaledwie kilku uznać można za obdarzonych talentem. Słuchać big-beatu i bawić się przy nim na pewno można, nie należy traktować go zbyt poważnie a już na pewno nie należy czynić z niego centralnego problemu życia. Nie należy również przyswajać sobie godnych potępienia manier, właściwych solistom big-beatowym. Cygan Burano nie jest Polakiem, dlatego też można mu ostatecznie wybaczyć polszczyznę jaką śpiewa swe utwory. Ci jednak Polacy, którzy mogliby śpiewać poprawną polszczyzną, a naśladują uparcie nie udolną wymowę Burana — i to śpiewając nie dla dziewczyny w parku, a na koncertach publicznych — zasługują na potężną porcję gwizdów.

Pewne niemal jest, że big-beat zostanie w końcu zastąpiony inną — być może mniej atrakcyjną muzyką, tak jak uwielbiane dawniej wąskie spodnie zastąpione zostały rozszerzanymi u dołu. Big-beat osłucha się w końcu, spowszechnieje. Wszak nawet najbardziej rozkochani w twistach młodzi ludzie przyznają, że wysłuchanie kilku twistów z rzędu wywołuje uczucie całkowitej sytości. Tańczyć big-beat można podobno bardzo długo, ale tu przyjemność hasania połączona jest z przyjemnością słuchania oraz przyjemnością płynącą z towarzystwa płci odmiennej. Mówiąc o klęsce big-beatu trzeba powiedzieć parę słów o jego kapłanach, którzy swoim postępowaniem zdają się tę klęskę zapowiadać. Wielu z wielbicieli rock and rolla w dyskusjach o big-beacie powołuje się na autorytet Presleya. Szczerze jednak mówiąc obecny Presley niczym nie przypomina Presleya sprzed paru lat. Z pewnością nie ma już chęci na tarzanie się po scenie, a kulturalnie interpretowane przez niego ballady z rock and rollem mają bardzo niewiele wspólnego. Inny filar rocka — Haley do końca pozostał wierny swej dynamicznej muzyce; ale nazwisko jego słyszy się coraz rzadziej i kto wie czy nie powróci i on w końcu do swojej kowbojskiej muzyki. Na koncertach big-beatowych spotkać możemy i siwe głowy. Ludzie o siwych włosach traktują takie koncerty jak widowiska cyrkowe, na których można się bawić, ale nie można nic z nich wynieść z sobą do domu. I tak chyba należy big-beat traktować — z lekkim przymrużeniem oka. Nie przywiązujemy się do big-beatu, bo na pewno odejdzie od nas. Wróci być może po pięćdziesięciu latach na jeden sezon, tak jak wrócił charleston czy kankan.

**ANDRZEJ MAKOWIECKI**

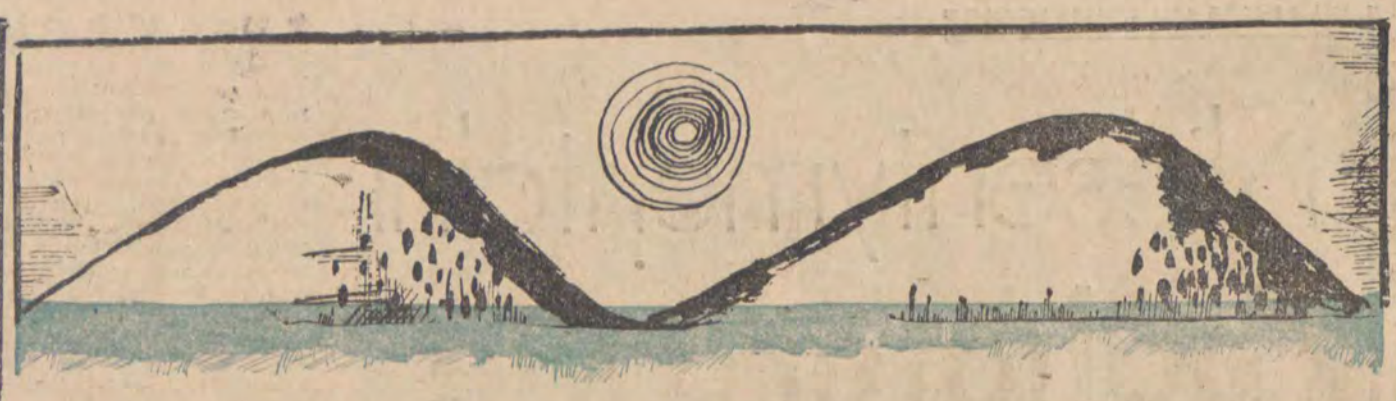

# Zakopiańskie wędrówki

Nie słychać było klekotu nart, gorączkowych rozmów, śmiechów. Nie widać było wypchanych plecaków i toreb z emblematami zrzeszeń sportowych. Kalejdoskopowa barwna parada strojów z warszawskiej „Ewy" i łódzkiej „Telimeny", ustąpiła miejsca góralskim guńkom i kierpcom. Rozdęte gwarem kawiarnie i lokale straszyły pustką stolików. Na zamazanych szybach niektórych z nich wymalowano: „remont". Czas leniwie kroczył deptakiem polskiego Saint-Moritz. Natarczywa i roześmiana ciżba „ceprów" nie oblegała kas biletowych kolejki na Kasprowy. Wysłużony wyciąg na Gubałówkę odpoczywał biernie poddając się zabiegom konserwatorów. W Domu Turysty... obradowali naukowcy przybyli na Międzynarodowy Zjazd Kardiologów. Milczały okoliczne trasy narciarskie. Stadion pod Krokwią wraz ze skocznią ( jak twierdzą fachowcy — chlubą naszego budownictwa sportowego), przypominał wymarły amfiteatr Dionizosa.

Odmienność rzeczywistości, smutek jesieni, nietypowość zjawisk — wszystko to było jednak pozorne. Obraz został odebrany bowiem przez słoneczne okulary turysty. Faktycznie życie normalnie drążyło tu swoje kanały. Zakopane przygotowywało się do zimowej batalii.

### 26 TYSIĘCY + 20 TYS. = 46 TYS.

Pierwsza z tych liczb oznacza rzeczywistą ilość mieszkańców Zakopanego, następna jest stałym miesięcznym wskaźnikiem „wędrówki ludów" z jaką to miasto ma do czynienia. Czyli de facto nasza zimowa stolica ma przeciętnie 46 tys. twarzy obojga płci do obsłużenia. Nic dziwnego, że ekonomiczne wskaźniki spożycia są pokaźne.

W III kwartale bieżącego roku zjedzono: 1.364 tony mąki, 76 ton serów, 180 ton masła, 1.896 ton mięsa, 176 ton ryb oraz 5 tys. szt. jaj. Wszystkich tych „mądrości" dowiedziałem się w gabinecie wiceprzewodniczącego MRN ob. Franciszka Gacha. On też był łaskaw poinformować mnie o wielu innych ciekawych problemach.

Nie mniejsze również ilości tzw. masy towarowej zaplanowano na IV kwartał, aby z kolei rzesze turystów nie robiły cierpiętniczych min z powodu złego zaopatrzenia. Tu mała dygresja pochodząca z własnych obserwacji. Wystawy zakopiańskich sklepów pęczniały od różnorodnych produktów.

To małe podhalańskie miasto jest do pewnego stopnia „bankiem województwa". Jedna trzecia całego obrotu pieniężnego skupia się właśnie tutaj. Przy tym racjonalizm ekonomiczny ojców miasta daje wyniki ponieważ 95 proc. złotówek w transferze trafia do kasy państwowej, gdy np. w Limanowej sytuacja jest akurat odwrotna.

### MATERAC CZY TAPCZAN?

Na sezon zimowy Zakopane przygotowało ponad 9.000 miejsc. Dużo to czy mało?

Biorąc pod uwagę przytoczony wyżej wskaźnik 20 tysięcy osób jest to ilość, która w zasadzie powinna rozwiązać tegoroczny program kwaterunkowy nie narażając turystów na perturbacje.

I tak: Dom Turysty posiada 630 miejsc, PTTK 844 miejsca, Schronisko Szkolne — 120 miejsc, „Orbis" — 228 miejsc, FWP — 1322. Domy resortowe poszczególnych instytucji 1627 miejsc. Do tego dochodzą tzw. kwatery prywatne około 3 tys. miejsc będące w gestii PTTK i Spółdzielni „Gromada", oraz około 1.500 miejsc nie objętych żadną kontrolą administracyjną.

Tutaj czytelnikowi należy się kilka słów wyjaśnienia. Jeżeli chodzi o kwatery prywatne zakopiański Oddział PTTK i wspomniana spółdzielnia chcąc ukręcić prywatny handel mieszkania mi zawarły roczne umowy z poszczególnymi właścicielami kwater. Koszt noclegu w tej klasie wynosi 20 zł od łóżka. Oczywiście nie może tu być mowy o standardzie typu „Orbis" lub „Dom Turysty". Często są to warunki bardzo prymitywne.

Dla przykładu przytoczę jeszcze obowiązującą taryfę w schroniskach PTTK. Domy pierwszej kategorii — np. „Kalatówki" — od 20 do 50 zł za łóżko. Domy drugiej kategorii — np. „Orna" — od 20 do 25 zł za łóżko i domy trzeciej kategorii znajdujące się przeważnie poza Zakopanem (Bukowina — Poronin) od 15 do 20 zł za łóżko.

Osobliwe curiosum w skomplikowanym gąszczu cen i kategorii stanowi „Dom Turysty". Osobiście proponowałbym przemianowanie go na Dom Bankiera z racji cen jakie w nim obowiązują.

Za pokój 2-osobowy (pojedynek w ogóle nie ma), „turysta" płaci 120 zł, gdy równocześnie pokój 1-osobowy w hotelu podległym Miejskiej Gospodarce Komunalnej kosztuje od 40 do 80 zł. Przy tym nocleg prywatny można otrzymać — u uczciwych kontrahentów — już za 35 zł. Wykluczając oczywiście szalbierzy, z którymi osobiście miałem przyjemność się spotkać, żądających 90 zł od łóżka (sic)!

Do czego zmierzam? Cały wysiłek gospodarzy Zakopanego koncentruje się na ograniczeniu (bowiem wyeliminowanie leży w sferze marzeń) prywatnej rotacji mieszkań. Przy tak ustalonym cenniku jest to walka z wiatrakami. Oczywisty staje się fakt, że przeciętny zjadacz zakopiańskiego chleba w takiej sytuacji z pewnością wybierze twardszy materac za 40 zł w pomieszczeniu prywatnym niż... porowatą gąbkę tapczanu w „Domu Turysty" za 120 zł.

Jest jeszcze jedno „intymne", ale w całej procedurze lokalowej i jak mi sugerowano wcale nie bagatelne. Wiadomo, że zarówno hotele jak i inne domy, podległe administracji państwowej nie meldują razem osób płci odmiennej, którym uprzednio nie odegrano „Marsza Weselnego" Mendelssohna. Ci również rezygnują z gościnności pomieszczeń państwowych na rzecz prywatnego posiadacza.

### ZIMOWE „SZALEŃSTWO"

Trawestując znane przysłowie można by powiedzieć, „nie samym mieszkaniem człowiek żyje". Chodzi również o godziwą rozrywkę. Tutaj „pierwsze skrzypce" gra zakopiański oddział PTTK, który już w tej chwili ma zamknięty portfel imprez krajowych jak i zagranicznych. Prócz wycieczek tatrzańskimi szlakami planuje się liczne wypady w ramach konwencji turystycznej z Czechosłowacją. Przypuszcza się, że pod Giewont ściągnie różnobarwny tłum. M. in. Niemcy, Węgrzy, Bułgarzy, Rosjanie, Włosi, Anglicy, Francuzi, Duńczycy, Szwedzi no i oczywiście Czechosłowacy, którzy czują się tutaj jak u siebie w domu. Trasy narciarskie zostaną oddane do dyspozycji sportowców z chwilą ukazania się pierwszego śniegu. Zrobiono niezbędne „przecinki" leśne dla uatrakcyjnienia zjazdów. Wszystkie wyciągi, którymi dysponujemy, niestety w mikroskopijnym wydaniu będą czynne. Z tym, że wyciąg na Halę Gąsienicową został przedłużony do 1.600 m. Jak przypuszcza się faktyczny sezon rozpocznie się dopiero przed świętami.

Moje zakopiańskie wędrówki zostały zakończone. Gdy odjeżdżałem zaczął padać pierwszy w tym roku śnieg.

**MAREK FILANOWICZ**

## Z cyklu: ŁÓDŹ

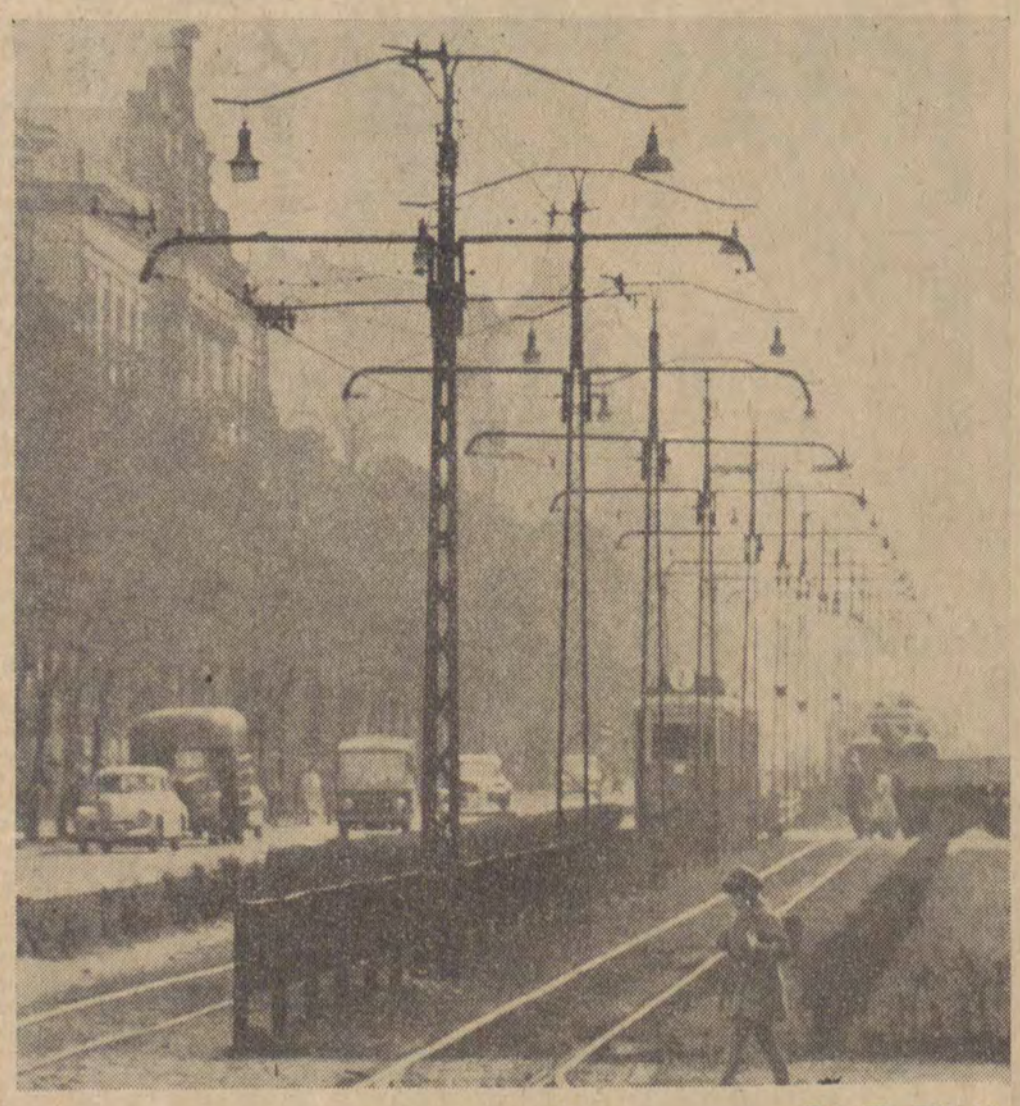

Fot. W. Biliński

## informacje i zaczepki

**Niedawno Rada Państwa powołała na stanowiska profesorów zwyczajnych trzech łódzkich naukowców: Pawła Ludwika Prindisza (PL), Stanisława Zagrodzkiego (PL) oraz Wacława Szuberta (UŁ).**

**Warto przeczytać interesującą książkę łódzkiego dziennikarza Sergiusza Jaśkiewicza pt. „Pod niebem Danii". Jest to zbiór naprawdę ciekawych reportaży z kraju, o którym właściwie wiemy bardzo mało. Książka ukazała się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego.**

**Łódzkie ZOO wzbogaciło się ostatnio o kilka okazów egzotycznych afrykańskich zwierząt. Nazywają się one również bardzo egzotycznie: Garnu, Eland, Szara Mangaba, Watusi.**

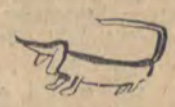

**Tym razem kamyczek do własnego ogródka. Otóż Alina Grabowska i Jerzy Panasewicz („Odgłosy" nr 51/52) cytują „Znane powiedzonko starego biletera". Los chciał jednak, że autorem powiedzonka jest słynny dyrektor administracyjny kabaretu „Qui pro quo" — Seweryn Majde.**

**W Wieluniu rozpoczęto budowę gmachu Powiatowej i Miejskiej Biblioteki, która obecnie mieści się w ciasnym, posklepowym lokalu. Pisaliśmy już kiedyś, że działacze kulturalni w tym mieście planują otwarcie Muzeum Regionalnego — a więc jak widać „dobrze się dzieje w państwie wieluńskim".**

**„Czasem konik bryka lecz bez brykania nie ma konika". Niby prawda, ale... to jest fraszka. Tak, tak. Przeczytaliśmy ją w jednej z łódzkich gazet. Ech, życie... Konikowi wystarczy, że bryka, a satyryk musi pisać, bo bez pisania nie ma satyryka.**

**Tysiąc filmów na Tysiąclecie. Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi właśnie niedawno wyprodukowała swój tysięczny film. Gratulujemy.**

**J. W.**

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

# bitwa w lasach pod Dobrą

(II)

Dali znać o dziesiątej wieczorem. Augusta przybiegła, okutana grubą wełnianą chustką jak szalem. Chustka zsunęła się z głowy tworząc dokoła potarganych rudych włosów coś w rodzaju wysokiej sztywnej kryzy. Nadawało to Auguście wygląd pełen majestatu, dramatyczny i wyzywający. Powiedziała, że wrócił Franek z ojcem, ale bez paniczów.

— Bez paniczów! Boże! — chciał ją zatrzymać, lecz Augusta przemknęła mu pod łokciem i pobiegła do domu.

Pośpieszył na podwórze do przybudówki, zajmowanej przez stangreta. W sionce zalatywało myszami i stęchłym ziarnem.

— No, i co? — zapytał od progu. — Niczego się Pacyna nie dowiedział?

— Niczegom się nie dowiedział, panie rejencie. Ani widu, ani słychu o paniczach.

— Boże! Boże! — przezwyciężając wstręt przekraczał próg mieszkania-nory, gdzie zmiażdżył kiedyś laską karalucha w szparze. Izba była oświetlona lampą naftową z zakopconym szkłem i wyczyszczonym blaszanym krążkiem, w którym jak w reflektorku wzmacniało się odbite światło. Zakaszlał od zaduchu machorki i od gorąca, które buchało z rozżarzonej do czerwoności płyty na kuchennym piecu. Chyląc głowę pod niskim pułapem ogarnął pobieżnym spojrzeniem ściany, czarne jak w żydowskich sklepikach. Złuszczone wapno poodpadało w wielu miejscach od desek. W kącie w głębi stało wyrko, na którym leżał chłopiec.

— Wasza kobieta jeszcze nie wróciła? — zapytał z roztargnieniem.

— Jak pojechała na Gromniczną do rodziny do Sieradza — powiedział Pacyna — to jej dotąd ni mo.

Franek leżał zapadnięty we wgłębieniu poduszki, która jakby obejmowała mu głowę czterema sterczącymi rogami. Twarz długa i blada, ostry nos, szkliste ptasie oczy, czub pszenicznych włosów na czole. W rozwarciu zgrzebnej koszuli na piersi widać było tasiemkę od medalika. Usta sine. Wygląd moribundusa.

Przeraził się na myśl o Łukaszu. — Może jemu chce się pić?

— Toć ma arbatę! — Pacyna pokazał na szklankę z żółtym jak słoma płynem i na kromkę chleba na stołku przy wyrku.

— A więc, o paniczu? O paniczach niczego się Pacyna nie dowiedział? Ale czy się Pacyna chociaż przepytywał tam kogoś na wsi? Widzę, że będę musiał tam pojechać sam.

— Pytałem się, panie rejencie. Jakże mógłbym się nie pytać? Mój kum, dziad kościelny Maciejeski szukał z organistą w metrykach. A juści! Bo to sam tameczny proboszcz spisywał akty śmierci tych wojowników polskich — tak oni tam napisali! — poległych w bitwie z wojskami cysarsko-rosyjskimi. Sześćdziesięciu ich tam uświerkło, a jakże!

— Sześćdziesięciu, powiadacie, poległo? Matko Boska!

— Szukał w metrykach, ale nazwiska Bogatko nie znalazł.

— Matko Boska! — zasłonił oczy dłonią i chwilę trwał w prostracji. Potem odjął rękę i spojrzał na Franka. — No, a ty? Nie widziałeś panicza?

— Gadaj, jak pan każe! — huknął stangret na syna.

— Może zmęczony? Co mu zrobili?

— Nic takiego — odpowiedział stangret. — Nogę ma rozharataną bagnetem. Do wesela się zagoi, prawda, Franuś?

— A więc, mów, chłopcze. Widziałeś panicza?

Młodzieńczo poważne oczy spojrzały ciekawie na rejenta.

— Widziałem.

— Bój się Boga, gdzie?

— Na biwaku w radogoskim lesie.

— I gdzie jeszcze? — indagował. — Mów!

— Jeszcze to widziałem, jak strzelał zza sąga.

— A potem?

— Potem to już więcej nie widziałem.

— Czekaj, chłopcze, może ty jesteś zmęczony?

— Co ma być zmęczony? — siąknął Pacyna. — Jak uciekał z domu, to nie był zmęczony, a teraz zmęczony?

— Czekajcie, Pacyna, tak nie można! — powiedział zniecierpliwiony i zdjął okulary, które zaczął przecierać chusteczką. — Słuchaj, czy ty potrafiłbyś opowiedzieć, jak się zaczęła ta bitwa? — Nałożył z powrotem okulary. — Od czego się zaczęło? Mów całą prawdę, niczego nie ukrywaj.

— A co miałby do ukrywania? — wtrącił Pacyna hałaśliwie.

Franek otarł nos rękawem koszuli. — Zaczęło się od tego, że na polu pokazali się Kozacy.

— Na polu? To znaczy, że wy byliście w lesie?

— W lesie. Las tam jest ogromny, chojnasty.

— No, i co dalej?

— Dalej? — Chłopiec patrzał w pułap. — Dalej zatrąbili na alarm.

— Na alarm? I co dalej? Mów, mów!

— I zaczęni my strzelać.

— Strzelać? Mój Łukasz też strzelał?

— Panicz strzelał. Panicz miał takie czarne usta. — Nieśpieszny uśmiech z wyrazem dziecinnej uciechy wypłynął na mizerną twarz.

— Czarne usta? — zaniepokoił się. — Od czego?

— A od odgryzania patronów.

— A juścić — wtrącił ze znawstwem stary Pacyna. Gilza z grubego papieru, trza odgryźć denko ładunku.

— Dobrze, dobrze — przerwał niecierpliwie. — Mów dalej, Franuś.

— Cała linia tyraliery, wie tata — podjął chłopiec myśl ojca — była zaśmiecona papierkami po patronach.

— Tyraliery, powiadasz?

— Bo my byli w tyralierze za drzewami.

— I strzelaliście do tych Kozaków?

— Kozacy uciekli. My strzelalim do soldatów.

— No, dobrze, a dalej?

— Dalej, to oni poszli do ataku „na sztyki". Ich oficery krzyczeli: „Na sztyki! Wpieriod skorym szagom! Wpieriod, rebiata!" Słyszałem, bo wiater znosił słowa do lasu.

— I wy do nich strzelaliście?

— Strzelaliśmy. Trzaskanie to było takie jak by kto perkal rozrywał sztuka po sztuce albo i kilka sztuk na raz.

— Perkal, proszę, no?

— Perkal — powtórzył za rejentem stary Pacyna i spojrzał z dumą na syna, a potem na pana.

Franek oddychał jak zdyszany biegiem. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

— Odpocznij se trochę — doradził Pacyna.

— Odpocznij — przyłączył się do tej rady i natychmiast zapytał: — A mojego Łukasza widziałeś wtedy? Franuś, mów całą prawdę. Może ty się boisz powiedzieć mi, co się stało z paniczem?

— A czegój by się miał bać? — dorzucił prędko i hałaśliwie Pacyna. — Nie boi, się ino nie wie.

— Dlaczego wy tak krzyczycie, Pacyna? Nie wie, powiadacie? — patrzał podejrzliwie na stangreta, a potem przeniósł wzrok na chłopca. — Mówisz więc, że nie widziałeś panicza?

— Jużem więcej nie widział. Dym prochowy to się słał po lesie jak mgła. I tym pierwszym razem to my ich odparli. A potem ci, którzy patrzyli przez lornetki, to widzieli, jak soldaci piją z manierek gorzałkę. Dla rozgrzewki, powiadali i dla kurażu.

— Dla kurażu — pomógł chłopcu.

— Właśnie, tak gadali, dla kurażu.

— A ty się bałeś? — zapytał.

Chłopiec patrzył w sufit. Brwi zbiegły mu się nad nosem tworząc prawie jedną linię. — Ja się bałem — odrzekł po namyśle. — Febra mną trzęsła i zaczęłem dygotać jak w gorączce.

— I już nie widziałeś więcej panicza? — zapytał.

— No, to gadaj dalej — zażądał Pacyna. — Gadaj, jak drugi raz poszli „na sztyki".

— Drugi raz, jak zagrała trąbka, to podeszli bliżej i zaczęni strzelać. Karabiny to oni mieli lepsze od naszych fuzji, gwintowane. Nasze fuzje nie donosiły. A oni w nas rotowym ogniem. Kule gwizdały koło uszu. Jezu! Zara się tyż zaczęna sypać kora i gałązki z drzew i byli ranni. Jęczeli okropnie. Jeden to się złapał lewa ręka za prawą rozci raz poszli „na sztyki" i wdarli się do lasu. „Hurraa!" wrzeszczeli, aż zimno się robiło człowiekowi od tego krzyku.

„Człowiekowi" pomyślał, pożal się Boże, pomyślał patrząc na wyraziste kontury chudego chłopięcego ciała rysujące się ostro pod lichym przetartym kocem.

— Wdarli się? — z cichym zachłannym podziwem wtórował Pacyna synowi.

— Trza ich było dopiero kosami odpierać. Nasze kosyniery poszły do ataku. Jaki tam się zrobił krzyk, Jezu! — powiedział chłopiec cienkim głosem i obrócił się do stołka po szklankę z herbatą. Wydatna chrząstka tarczowa chodziła mu płynnie pod skórą szyi, gdy popijał łyk za łykiem.

— Popij se, popij — mówił z tłumionym zadowoleniem Pacyna. — Kosami, powiadasz? Kosa, ludzie, to jest okrutnie silna broń. Mirosławski miał powiedzieć: „Nie myślcie, bracia, że kosa jest słabą bronią. Czy nie widzicie, miał powiedzieć, że w kościołach trzaskaną i kręcił się w kółko tak śmiesznie, i skowytał z bólu jak pies. „Schowaj się!" krzyczeli. „Schowaj się za drzewo!" A ten nic, tylko wyje i kręci się w kółko. Ale wreszcie upadł od drugiej kuli i już zamilkł na wieki.

Po tych słowach w izbie zrobiło się cicho. Słychać było trzaskanie pod rozżarzoną do czerwoności blachą, na której pełgały złote iskierki ognia. Patrzał na iskierki i wzdychał: — Boże! Boże!

— No, a co potem, Franuś? Co potem? — dopytywał się z zaciekawieniem ojciec. Głos starego podchodził tkliwą chrypką.

— Potem, jak my ich drugi raz odparli, to oni trzena chorągwiach śmierć z kosą jest wymalowana?"

— Piekielny demagog — mruknął.

— Niby, że jak, panie rejencie?

— Demagog, powiadam — tłumaczył z irytacją. — Jakobin. Agitator, podburzający ludzi do gwałtu.

— Juścić! — potakiwał stangret. — Juścić! Miał powiedzieć, że „Polska będzie wolna dopiro, jak na kiszce ostatniego księdza powieszą ostatniego szlachcica".

— Pacyna! — Zgorszony, zawołał wielkim głosem. — Pacynie nie wstyd opowiadać takie rzeczy przy chłopaku? Coś podobnego!? Wierzący katolik nie powinien... Pacyna się będzie musiał z tego wyspowiadać przed swoim spowiednikiem i prosić o rozgrzeszenie.

Stangret patrzał w milczeniu na swoje spracowane ręce z zaciekami brudu w paznokciach.

— No, i coś jeszcze widział, chłopcze, mów! — zwrócił się łaskawie do Franka.

— Byli tam jakie znajome? — ośmielony Pacyna przyłączył się do pytania rejenta.

— A byli! — Franek wbił wzrok w pułap jak by tam szukał pamięcią wspólnych znajomych ojca i swoich. — Był starozakonny Kuch, fryzjer, ten, co miał razurę z trzema talerzami na śpikulcu nad sklepem.

— Herman Kuch? — zdziwił się. — Nadzwyczajne! Ten z Tojtn-Gase, jak oni nazywają ulicę Umarłych w ich dzielnicy żydowskiej?

— Ten sam — potwierdził Franek. — Taki śmieszny ten Kuch, w chałacie i w jarmułce, stał za drzewem i strzelał, i skarżył się, że mu lufa parzy ręce. „To nie trzymaj za lufę, głupi Żydzie!" krzyczeli do niego i śmieli się. A jak Rosjanie otworzyli rotowy ogień, to ten Kuch się wychylił zza drzewa i taka różowa piana jak bańka mydlana wyszła mu na usta, i upadł, i już było po nim.

Przez cały czas opowiadania myślał, Tak, ale gdzie był wtedy Łukasz? Dlaczego ten głupkowaty Franuś, którego wszystko śmieszyło, nie mówi nic o Łukaszu? Widział wszystko, nawet cyrulika, Kucha, tylko Łukasza nie widział. — A panicza? Nie widziałeś wtedy panicza?

Pytanie, zagłuszone przez natarczywą ciekawość starego Pacyny, nie dotarło do chłopca. — No, i co jeszcze? Gadaj, Franuś! — domagał się naglące stangret. — Co było potem?

— Jak się wdarli znowu, drugi raz, do lasu, to już u nas się zaczął robić mąt i kotłowanina. — Odblask dziecinnego przerażenia na wspomnienie tamtej chwili przeleciał przez twarz i zgasł w oczach. — Kosyniery zaczęni rzucać kosy. — Głos chłopca zamarł. Mały zdawał się szukać słów na wyrażenie tego, co się wtedy stało, i co przeżył. — Rzucać kosy.

Na próżno starał się wyczytać z głosu Franka coś o Łukaszu. Ciągle było tylko o innych. Za cienkim głosem chłopaka, przechodzącego mutację, starał się odszukać Łukasza, tak samo, jak wtedy, w stajni, za słowami, które klepał ten głupek (zapamiętał wszystko co do joty: „Powiedzieli, żebym do nich przystał, to nie będę potrzebował robić i będę miał dosyć pieniędzy, bo będziemy napadać na bogatych, więc jeżeli chcę, to żebym przyszedł do krzyża za miastem i złożył przysięgę, to mi dadzą pistolet, proch i kule, mówili, że teraz jest niesprawiedliwość na świecie, bo jedni mają dużo pieniędzy, a drudzy nie mają nic, ale ja powiedziałem, żeby mi dali spokój, bo nie chcę pieniędzy zdobytych nierzetelnym sposobem"), starał się odgadnąć, jaki był udział Łukasza w spisku Garibaldczyków.

— My się tyż cofnęli głębiej w las — opowiadał Franek. — A tu już słychać krzyki Rosjan: „Brosajtie ruża, miatieżniki!"

— No, dobrze, a dowódca? Gdzie był wasz dowódca? — zapytał nie mogąc powściągnąć irytacji, oburzenia, rozpaczy. — Gdzie był Dworzaczek, wasz komendant?

Franek leżał na wznak, zapatrzony w pułap. Tasiemka od medalika poniżej szyi podnosiła się i opadała razem z podnoszącą się i opadającą piersią, poruszaną ciężkim oddechem.

— Odpocznij se, odpocznij — doradzał Pacyna.

— Mówili potem, jakem już leżał u dziadka Maciejeskiego, że Dworzaczek uciekł z pola bitwy i doszedł do Nowosolnej.

— Powiadają, że jak uciekał, to było słychać w lesie, jak mu dzwoniły ostrogi — wtrącił Pacyna z jadowitą uciechą. — Byli tacy, którzy słyszeli.

— W Nowosolnej mieli go złapać koloniści i związać powrozami.

— Niemce — uzupełnił stangret. — Związali go powrozami i odstawili do Łęczycy.

— Boże! — westchnął — I nic już więcej nie widziałeś?

— Widziałem. — Franek prawie bezgłośnie poruszył wargami.

Wstał i pochylił się nad wyrkiem, żeby dosłyszeć, co mówił. Chłopiec miał szkliste oczy i obrzmiałe wyschłe usta. — Czterech broniło sztandaru. Panicz oganiał się kosą przed bagnetami. Sołdaty krzyczeli: „Zdajsia! Zdajsia, miatieżnik!"

— Matko Boska, teraz do piero to mówisz?!

Nad głową chłopca, na ścianie poruszyły się cienie rąk jak skrzydła ptaka. Obrócił się do stangreta. — Co wy mu dajecie za znaki? — pytał oburzony. — Ludzie, wy coś przede mną ukrywacie?

— Nic nie ukrywamy. Pan słucha, panie rejencie! — Pacyna pokazał na Franka, który powiedział: — Potem zrobiło mi się ciemno w oczach i tak, jak by mnie osa ukąsiła w nogę.

— Rozharatali mu nogę bagnetem — wyjaśnił Pacyna rzeczowo. — Ale miał jeszcze tyla sił, żeby dociągnąć do wsi, do mojego kuma, dziadka kościelnego Maciejeskiego. A tera trza go ostawić, to się kapkę zdrzymnie.

Schwycił stangreta za orzydle. — Pacyna, jutro z samego rana — dyszał — założycie do bryczki. — Z samego rana — mówił słabnącym głosem puszczając Pacynę. — O ósmej. Pojedziemy na plebanię.

Z samego rana, zanim Pacyna założył do resorowanej bryczki i podjechał przed dom, zdążyła pobiec do Rosickich i wrócić trochę zdyszana i zaróżowiona od mrozu. — Dowiedziałam się od Rosickiej. Nazywa się Jasieński. Został proboszczem niedawno, pół roku temu. Skąpy, nie trzyma wikariusza.

— Bo może parafia mała?

d. c. n.

KRZYSZTOF POGORZELEC

# „SIEDEM SIÓSTR" i SIGNOR MATTEI

W każdym podręczniku geografii świata wydanym przed 1946 rokiem, tuż pod słowem ITALIA uczniowie znajdywali suche stwierdzenie: Włochy są krajem ubogim w surowce niezbędne dla nowoczesnego przemysłu. Italia nie posiada złóż węgla kamiennego, ropy naftowej, ani gazu ziemnego.

To była prawda oczywista aż do roku 1946.

Ale wtedy signor Enrico Mattei zasiadał już na dyrektorskim fotelu ENTE NAZIONALE IDROCARBURI, czyli ENI, a geolodzy tego przedsiębiorstwa odkryli już dla Włoch Caviage, Ripalte i Cortemagiore.

### WHO IST WHO?

Również do roku 1946 w żadnym, nawet najbardziej obszernym i „liberalnym" angielskim lub amerykańskim „przewodniku rodzinnym" nie figurowało hasło: MATTEI.

Urodził się w 1906 roku jako jedno z siedmiorga dzieci skromnego oficera policji włoskiej mieszkającego w małym osiedlu nad Adriatykiem — w Acqualagna. Enrico nigdy nie przekroczył bramy wyższej uczelni w charakterze studenta. Tytuł inżyniera — niejako „honoris causa" uzyskał, gdy był już twórcą ENI.

Wcześniej malował sprzęty, był chłopcem na posyłki, magazynierem, urzędnikiem garbarni, wreszcie — jej wicedyrektorem, a następnie naczelnym dyrektorem.

W latach trzydziestych Enrico Mattei wdziera się w tajemnice wielkiego businessu. Reprezentuje wielkie konsorcium chemiczne, a w kilka lat później staje na czele własnej wytwórni środków chemicznych.

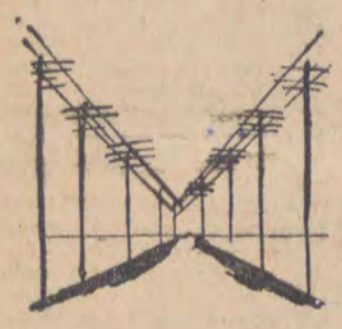

Wojna światowa obraca w niwecz to ambitne wspinanie się po szczeblach kariery big businessu; Enrico przechodzi do obozu aktywnie zwalczającego „wielkiego" Benita. W górach Calabrii nikt wprawdzie nie zna nazwiska Mattei, ale za to kapitan „Marconi" jest postacią bardzo popularną, wsławioną wieloma partyzanckimi akcjami przeciwko faszystowskim „czarnym koszulom", jeszcze na razie wszechwładnego Benita. Wtedy też dochodzi do osobistych kontaktów a nawet przyjaźni pomiędzy kapitanem „Marconim" — praktykującym katolikiem i dowódcą chadeckiego oddziału partyzanckiego i członkami społecznej lewicy, nie wyłączając jej najbardziej radykalnego skrzydła — przedstawicieli Komunistycznej Partii Włoch — Luigi Longo i Palmiro Togliattiego.

* * *

Czas zaczyna biec coraz szybciej. Nie ma już Duce, są biedne, zniszczone wojną Włochy.

Dzieci uczą się nadal w szkołach: Italia jest krajem ubogim... nie posiada złóż węgla, ropy naftowej, gazu ziemnego...

### CUD

Rok 1945. Enrico Mattei otrzymuje od rządu włoskiego nominację na komisarycznego dyrektora zbankrutowanego pofaszystowskiego przedsiębiorstwa badań geologicznych — AGIP. Zalecenie, z którym Mattei — „Marconi" przekracza drzwi dyrektorskiego gabinetu AGIP-u, jest tylko jedno: możliwie jak najszybciej zlikwidować ten twór niepotrzebny i przynoszący jedynie straty gospodarce włoskiej.

I po raz pierwszy kapitan „Marconi", nie, już teraz dyrektor Mattei, nie wykonuje rozkazu.

Obsadza agendy dawnego AGIP-u swoimi współpracownikami z lat wojny. Udaje mu się przeforsować w kołach rządowych zezwolenie na pewien eksperyment, chodzi mu mianowicie o rozszerzenie programu poszukiwań geologicznych na terenie Włoch. Mattei jest przekonany, że Półwysep Apeniński kryje w sobie niezmiernie bogate pokłady naturalnych gazów, a przede wszystkim metanu. A może nawet ropę naftową? Tak rodzi się ENI. ENTE NAZIONALE IDROCARBURI.

* * *

Cud zdarzył się w którąś z czerwcowych sobót 1946 roku. Wieczorne wydania mediolańskich dzienników krzyczały wielkimi nagłówkami: CHMURA OGNIA NAD CAVIAGĄ.

### GEOLODZY NATRAFILI NA BOGATE ZŁOŻA METANU!

Cała dolina rzeki Pad okazała się wielkim podziemnym zbiornikiem metanu, gazu, który mógł być podstawą surowcową i energetyczną dla wielkiego przemysłu.

Nagłówki dzienników rzymskich stwierdzają: WŁOCHY SĄ BOGATE!

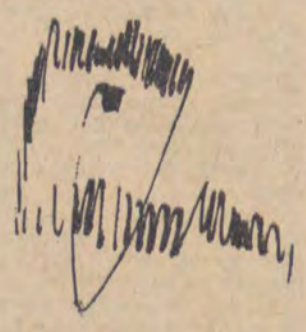

Dzieci w szkołach zaczynają się uczyć: Italia jest krajem bogatym w surowce, a przede wszystkim w złoża gazu ziemnego...

3.000 nafciarskich firm głównie amerykańskich, angielskich i francuskich składa rządowi włoskiemu ofertę na sprzedanie im koncesji, upoważniających do eksploatowania tego narodowego bogactwa.

W parlamencie rozpoczyna się zażarta walka: prawica oskarża rząd, a przede wszystkim Enrico Mattei, o chęć zatrzymania w swoim ręku bogactwa, które zdaniem tych ludzi powinno... należeć do nich. Oskarża o zamach na „świętą" własność prywatną. Nacisk idzie jeszcze z jednej strony, ze strony aliantów amerykańsko - angielskich, których garnizony wojskowe stoją jeszcze ciągle nad Padem.

Wszystko co postępowe zmierza do upaństwowienia nowo odkrytych przez geologów Enrico Mattei złóż, zorganizowania znacjonalizowanego przedsiębiorstwa eksploatującego metan dla potrzeb kraju. Luigi Longo wygłasza w parlamencie włoskim płomienne przemówienie w obronie Mattei i jego zamiarów.

Enrico Mattei wygrywa.

„Siedem sióstr" — jak nazywają wtajemniczeni — międzynarodowe koncerny naftowe — angielska BRITISH PETROLEUM, amerykańskie SHELL, STANDARD OF NEW JERSEY, STANDARD OF INDIANA, GULF, STANDARD OF CALIFORNIA, THE TEXAS CO z kretesem przegrywają swoją pierwszą rundę z ENI.

* * *

W 17 lat po odkryciu złóż metanu w Ripalto, Caviagia, Cortemagiore około 54 proc. ogólnego zapotrzebowania Włoch na paliwa i środki pędne pokrywał podziemny skarbiec doliny Padu. Plany bardzo sceptycznych ekonomistów i geologów przewidują, że gdzieś około roku 1970 zapotrzebowanie przemysłu włoskiego na środki pędne Italii będzie pokrywane z doliny Padu w około 70—80 proc. Co roku gospodarka Włoch zaoszczędza około 170 mln. dolarów, które musiałaby wydać za granicą na zakupienie niezbędnej ilości paliw.

U SHELLA, GULFA, STANDARD OIL CO I NAFCIARSKIEJ SPÓŁKI. U SIEDMIU NAFCIARSKICH CÓR.

### MAFIA

Siedem sióstr. To właśnie one przez dziesiątki lat trzymają w swoich zachłannych rękach niemal całe naftowe bogactwo zachodniego świata. Fachowcy obliczają, że blisko 94 proc. wydobycia światowego nafty w świecie kapitalistycznym, kontrolowane jest przez te właśnie koncerny naftowe wchodzące w skład „siódemki", a mianowicie przez British Petroleum, Shella, Standard of New Jersey, Standard of Indiana, Gulf, Standard of California, The Texas Co. Ten potężny kartel kontroluje nie tylko ponad 90 proc. wydobycia ropy naftowej świata kapitalistycznego, ale również grupuje w swoim ręku blisko 100 proc. całego eksportu nafty i przetworów naftowych zachodniego świata. W swoim ręku posiada znakomicie zorganizowaną sieć rafinerii i przedsiębiorstw przetwórczych, „siedem sióstr" dysponuje potężną flotyllą tankowców, a specjaliści obliczają, że niemal 60 proc. światowego tonażu statków mogących przewozić ropę naftową należy właśnie do nafciarskiej mafii. Do tego dochodzi jeszcze bogactwo w postaci bezwzględnego monopolu w dziedzinie rurociągów naftowych, i niemal wszystkie nitki, przez które płynie ropa naftowa — poza oczywiście terenami Związku Radzieckiego i krajów obozu socjalistycznego — należą do „siedmiu sióstr".

„Siedem sióstr" grupuje w swoim ręku nie tylko bogactwo. „Siedem sióstr" dyktuje również warunki polityczne, tworzy i obala trony, organizuje przewroty, umacnia dyktatorów. Francuski ekonomista, Henri Berenger, tak pisał na temat znaczenia bogactwa, które spoczywało i było do niedawna wyłączną własnością „siedmiu sióstr":

**„Ten kto posiada naftę będzie posiadał i panował na morzu przy pomocy olejów ciężkich, w powietrzu przy pomocy benzyny, a na ziemi poprzez dysponowanie gazoliną i naftą oświetleniową. Będzie mógł kierować swoimi bliźnimi, całymi krajami i państwami pod względem gospodarczym z tego tylko powodu, że będzie miał w swoim ręku fantastyczne bogactwo, które wyciągnie z nafty — cudownej substancji bardziej poszukiwanej i bardziej cenionej niż złoto".**

Świat nowoczesny nieustannie woła o benzynę i naftę. Gardła wielkiego przemysłu nieustannie wołają o nowe galony i beczułki „płynnego złota". Wielki kryzys węglowy jest m. in. wynikiem gwałtownego przechodzenia przemysłu na paliwo opierające się na ropie naftowej i jej pochodnych. W roku 1956 produkcja ropy naftowej na świecie wynosiła 840,8 miliona ton. W roku 1960 ten sam wskaźnik przekroczył już miliard ton i był cztery razy większy aniżeli przewidywały prognozy z lat trzydziestych. Ekonomiści i specjaliści twierdzą, że lata osiemdziesiąte naszego wieku przyniosą dalsze podwojenie zużycia ropy naftowej. Rok 1961 zamknął się bilansem wydobycia 1.119 mln. ton ropy naftowej na całym świecie.

Takim właśnie bogactwem

dysponuje rodzina „Siedmiu sióstr", za którymi w istocie stoją Rotszyldowie, Rockefellerowie, Deterdingowie i inni.

Tej właśnie nafciarskiej mafii, której już nie wystarczyło bogactwo Arabii Saudyjskiej, Iraku, Iranu czy Kuwejtu śniły się bogactwa odkryte przez Enrico Mattei i jego ludzi w dolinie Padu.

### WIELKA GRA

Tutaj trzeba powiedzieć kilka słów o mechanizmie wyzysku stosowanego przez nafciarskie koncerny „Siedmiu sióstr". Umowy o wydobycie ropy naftowej, które podpisuje światowy koncern Rockefellerów i Rotszyldów opierają się zwykle o zasadę „fifty-fifty". Znaczy to, że dochody z wydobycia ropy naftowej są dzielone po połowie pomiędzy rządy krajów, na których terenie znajdują się złoża ropy naftowej, i przedsiębiorstwa wydobywcze, a więc należące do mafii „Siedmiu sióstr".

Pozornie ta zasada jest sprawiedliwa. Jednak w gruncie rzeczy „fifty-fifty" kryje w sobie pewną pułapkę. Oto ceny według których następuje podział dochodów pomiędzy rządy krajów dysponujących złożem, a towarzystwa eksploatacyjne, są ustalane w oparciu o stawki eksportowe obowiązujące aktualnie na przykład na Bliskim Wschodzie, a więc w rejonie, gdzie ze względu na wielkie bogactwo występowania ropy naftowej siłą rzeczy są one niższe. Natomiast sam koncern „Siedmiu sióstr" sprzedaje tę samą ropę naftową i jej przeroby krajom całego świata już nie w oparciu o stawki i ceny bliskowschodnie, ale w oparciu o ceny obowiązujące przy wydobyciu ropy amerykańskiej, ropy niezwykle drogiej, gdyż wydobywanej z pokładów leżących często na głębokości 5 tys. metrów. Ta właśnie różnica cen, która często dochodzi do 200 proc. umożliwia, mimo pozorowi sprawiedliwego podziału uzyskiwać koncernom zawrotne wprost korzyści. I tej właśnie również zasadzie — „fifty-fifty" wydał zdecydowaną walkę Enrico Mattei i jego Ente Nazionale Idrocarburi.

Rozwijającemu się gwałtownie ENI już nie starczy bogactwo doliny Padu. ENI dysponuje bogatą siecią rurociągów gazowych, którymi doprowadza gaz i paliwo do wszystkich większych zakładów i ośrodków przemysłowych Włoch. W oparciu o bogactwo doliny Padu pracują wielkie zakłady samochodowe „Fiata" w Turynie, pali się gaz pod kuchenkami w rzymskich mieszkaniach, korzysta z dobroczynnego i taniego paliwa Mediolan.

Pierwszą rundę wygrało ENI. Enrico Mattei przystępuje do nowej gry. Ze zbudowanego pod Mediolanem nafciarskiego miasteczka lśniącego stalą i szkłem — Metanopoli — idą w świat dyspozycje i polecenia.

ENI buduje własną flotyllę tankowców.

ENI rozbudowuje sieć rurociągów.

ENI prowadzi międzynarodowe rozmowy o uzyskanie prawa do eksploatowania złóż:

W roku 1953 Enrico Mattei podpisuje pierwsze umowy o eksploatowaniu ropy naftowej w Zjednoczonej Republice Arabskiej, a następnie przychodzą inne pomyślnie sfinalizowane transakcje z Tunezją, Sudanem, Marokiem, Somali, Libią oraz Iranem. Wszędzie towarem przetargowym jest jedno: NAFTA.

Ale ENI kapitana „Marconiego" nie operuje zasadą „fifty-fifty". Wszystkie umowy podpisywane są w oparciu o stwierdzenie: siedemdziesiąt pięć procent dochodów dla kraju, który jest właścicielem złoża ropy naftowej, 25 proc. dla ENI. Wszystkie rachunki operają się o zasadę cen światowych.

„Siedem sióstr" uznaje te kroki Ente Nazionale Idrocarburi za zamach na swój stan posiadania. Ale jest to przecież zamach na wyzysk i bezwzględną monopolistyczną supremację.

I Enrico Mattei wygrywa z „Siedmioma siostrami" następną rundę. W roku 1961 podpisuje w Algierii umowę na badania poszukiwawcze za ropą naftową na niektórych terenach saharyjskich należących do Republiki Algierii.

Do Metanopoli na ręce kapitana „Marconiego" — Mattei nadchodzi list:

**„Organizacja armii podziemnej (OAS) wydaje na pana wyrok śmierci, który będzie wykonany przy najbliższej nadarzającej się okazji. Uzasadnienie:** działanie na szkodę Republiki Francuskiej i całego świata zachodniego, prowadzenie potajemnych rozmów z przedstawicielami międzynarodowego komunizmu i Związku Radzieckiego".

Enrico Mattei, a raczej Ente Nazionale Idrocarburi rozumie, że rozgrywkę z „Siedmioma siostrami" może wygrać tylko przy pomocy świata, w którym nie obowiązuje prawo bezwzględnego zysku. Odwiedza Polskę, udaje się do Związku

Radzieckiego, prowadzi rozmowy o dostawę ropy radzieckiej rurociągiem do rafinerii ENI. Ropa radziecka jest o 20 centów tańsza, aniżeli ropa, którą oferują na świecie koncerny należące do „Siedmiu sióstr". To już nie zamach na stan posiadania nafciarskiego koncernu, ale walka na śmierć i życie, groźba utraty wpływów, możliwości dyktowania nie tylko w dziedzinach gospodarczych, ale również politycznych.

I gdzieś w gabinetach „Siedmiu sióstr" zapada wyrok.

**Wczoraj, w sobotę 27 października 1962 roku w katastrofie samolotowej pod Mediolanem, w podróży służbowej na Sycylię zginął prezes ENI — Enrico Mattei. Samolot uległ wypadkowi bez wyraźnych przyczyn. Podejrzewa się sabotaż. Śledztwo trwa.**

Na miejsce Enrico Mattei rząd włoski mianował prezesem ENI nowego dyrektora. Został nim dr Boldrini.

Walka więc trwa nadal.

*Magazyn filmowy „Klaps" też liczy się w programie ogólnopolskim.* *Fot. Z. Krajewski*

# WIĘCEJ SERIO niż ŻARTEM

**Przetrwaliśmy więc wspólnie. Różnie bywało; zdarzały się krańcowe stany wyczerpania nerwowego lub nieoczekiwane zastrzyki entuzjastycznego optymizmu. Ale trzeba sobie na pociechę powiedzieć, że przeszliśmy przez dobrą zaprawę, i w jej wyniku coraz bardziej skłaniamy się w kierunku stoickiego spokoju. Mamy już przecież za sobą — na szczęście nasze — trzysta sześćdziesiąt pięć dni starego roku telewizyjnego, a nieuchronną perspektywa nowych trzystu sześć dziesięciu pięciu dni telewizyjnych napawa nie tyle troską czy obawą, ile pobłażliwym, pełnym tolerancyjnego wyrozumienia, spokojem. Wiemy dobrze (oby się mylić) czego należy się po telewizji spodziewać — oczywiście, jakaś tam odrobina nadziei kołacze jeszcze w człowieku. „Uśmiechnij się, jutro będzie lepiej" — postuluje przecież pierwsza gwiazda srebrnego ekranu, niezastąpiona Irena Dziedzic, której świąteczne „Tele-Echo" było wyszukaną kwintesencją błyskotliwego humoru, intelektu (jak zawsze zresztą). Jakże więc powątpiewać w filozoficzne prognostyki gwiazdy telewizyjnej? Niemniej gwoli prawdy i sprawiedliwości trzeba przyznać, że coraz trudniej jest uśmiechać się po demonstrowanych programach telewizyjnych.**

**Dlaczego tak się dzieje? (Świadomie stosuję czas telewizyjny, ciągły, gdyż nic nie wskazuje na szybką zmianę sytuacji, co wykazał Jerzy Urban przy pomocy niezawodnych liczb w artykule „Z buchalteryjnej księgi", „Polityka" nr 50).**

**Nasze wyobrażenia o zasobnym skarbcu telewizji są grubym nieporozumieniem. Lecz nam, zwykłym odbiorcom, wściekającym się na złe, często wręcz skandaliczne programy, trzeba wybaczyć ignorancje w zakresie buchalterii kuchni telewizyjnej. Nam przecież nie pokazuje się na ekranie cyfr, tylko czołówkę i program. Publicyści od czasu do czasu usprawiedliwiają na łamach wielkich tygodników niski poziom audycji ubóstwem telewizji.**

**A po prawdzie, co może obchodzić telewidza ubóstwo jako przyczyna wszystkiego złego, jeżeli:**

- **po pierwsze: opłaca co miesiąc składkę 40 złotych nie po to przecież, aby oglądać kilkakrotnie te same filmy, którymi telewizja łata swój budżet i nie po to, aby oglądać rozrywkowe chałtury czy odwalane byle jak programy publicystyczne, których jest zresztą coraz mniej bo są za drogie;**
- **po drugie: za 40 złotych (rocznie 480) odbiorca ma prawo wymagać od telewizji przynajmniej troski o jakość programu;**
- **po trzecie: przysłowie mówi, że gospodarstwo może być ubogie ale chędogie.**

**Niechlujstwa wielu programów nie wytłumaczy się brakiem finansów. Tak samo jak trudno jest wytłumaczyć monopolizm kilku nazwisk w telewizji. Zdarza się przecież i tak, że główne czołówki autorskie powtarzają się nie tylko co tydzień lecz parę razy w tygodniu. Z daleka wygląda to na zwykłą sitwę, z bliska, oczywiście, wszystko jest w najlepszym porządku.**

**W każdym razie wolno założyć na podstawie tych obserwacji, że ubóstwo telewizji nie przeszkadza bogacić się jednym i tym samym. Jerzy Urban pisał w „Polityce" (nr 50 „Z buchalteryjnej księgi") o sytuacji finansowej polskiej telewizji. Oczywiście, wszystko było słuszne ale należy zauważyć wreszcie tę jedną charakterystyczną cechę: wciąż mówimy o telewizji polskiej jako o niezaradnym niemowlęciu, a przecież weszła ona już w swój jedenasty rok życia. Czy nie zbyt późno dostrzega się więc owe budżetowe niedobory TV, które hamują jej rozwój i przyczyniają się do obniżania jej wartości merytorycznych? W takim razie jest to błędne koło, gdyż nawet nie wm, kogo spytać — a gdzie szukać wyjścia?**

**I w tym miejscu moje pierwsze noworoczne życzenie pod adresem telewizji oraz jej zwierzchników — oby nowy rok przyniósł sensowne uregulowanie spraw budżetowych.**

**Telewizji warszawskiej brakuje do robienia dobrych programów osiem milionów złotych. „I dodatkowych jeszcze trzech milionów aby uruchomić nie w pełni wykorzystany potencjał pozastołecznych ośrodków studyjnych" — pisze Jerzy Urban.**

**Nam jednak z tych „pozastołecznych ośrodków studyjnych" wydaje się nie bez powodu, że w stosunku do zapotrzebowań stolicy nasze są o wiele skromniejsze, dajcie trzy miliony i to dzielone przez sześć ośrodków, a będzie dobrze. Czy istnieją w tak podstawowej a delikatnej materii budżetów — demokratyczne proporcje? Jeżeli teraz rozpatrzymy owe proporcje (czytaj: szanse ośrodków pozastołecznych na rozwój) to wszystkie okoliczności przemawiają na korzyść ośrodka centralnego, zaś żadna nie świadczy na korzyść liczniejszych i dużo, dużo biedniejszych ośrodków terenowych, które przecież też muszą robić swój program. Warszawa w porównaniu z terenem ma krocie lecz nie potrafi ich zużytkować. Pozastołeczne ośrodki nie sięgają nawet w sennych marzeniach aż po tak wysokie dotacje, lecz pomimo prawdziwego ubóstwa (Warszawie przypada ponad 400 złotych na jedna minutę programu, ośrodkowi terenowemu niecałe 100 złotych), posiadamy niewątpliwe sukcesy. Połowa dobrego programu rozrywkowego — to Łódź. Połowa dobrego teatru — Łódź. Katowicom coraz częściej udaje się poprawna publicystyka. O Krakowie można wyrokować, że rośnie na groźnego konkurenta.**

**Jerzy Urban pisał: „Tegoroczny budżet na opłacenie pracy przy robieniu programu (bez kwot wypłacanych pracownikom jako pensje) wynosi około 25 milionów. Z tego ośrodki terenowe otrzymały 5 milionów, Warszawa zaś 20 milionów".**

**Proporcje? — 5 milionów przez 6 ośrodków terenowych w stosunku do budżetu jednego ośrodka warszawskiego? — Dysproporcje? Rażące, wystawiające niedwuznaczne świadectwo centralistycznej polityce. Szkoda, że Jerzy Urban wysuwając tak racjonalne postulaty w sprawie uregulowania centralnego budżetu, nie zastanowił się nad wnioskami w sprawie uregulowania budżetów terenowych?**

**Należy więc życzyć, aby w nowym roku telewizyjnym ktoś nareszcie taki wniosek — i już ostatecznie rozstrzygający — powziął. Łódzkiemu Ośrodkowi Telewizyjnemu życzymy z kolei większej stanowczości w realizowaniu swoich zamierzeń, dalszych dwunastu spektakli Teatru Popularnego, ani jednego więcej eksperymentalnego „Programu w rodzaju music-hallu", dobrej publicystyki telewizyjnej, oraz mniej bubli w programie lokalnym. Chodzi o to, żeby łodzianie na czas trwania „Aktualności łódzkich" czy „Faktów i poglądów" nie musieli wyłączać swoich telewizorów. Niech te oszczędności czynią przy okazji innych programów i tego życzy w nowym roku**

**KOWALSKI**

*Połowę dobrego programu rozrywkowego daje Łódź* *Fot. Z. Krajewski*

# TELEwizja

## Szczypta soli

*Pierwszy dzień świątecznego programu telewizyjnego obfitował w zaskakujące niespodzianki. Trzeba też przyznać, że pomysłowe.*

*Zapowiedziany w programie i oczekiwany — jak zwykle przez telewidzów młodszych, starszych i najstarszych — disneyowski „Klub Myszki Miki" nie odbył się z przyczyn bliżej nieokreślonych. Nie darmo telewizja zastrzega sobie prawo do zmian w programie. Szkoda jednak, że od tej wygodnej reguły nie zechciała uczynić odstępstwa chociaż raz w roku, z okazji świąt.*

*Następna niespodzianka, przygotowana przez TV, to film dla dzieci i młodzieży, „Historia żółtej ciżemki". Niewątpliwie film Chęcińskiego jest frapującym obrazem, czy jednak aż tak bardzo, aby wznawiać go w telewizji po raz drugi i to w dodatku na święta?*

*Kolejną atrakcją dnia było również ponowne wznowienie na telewizyjnym ekranie polskiej komedii „Mąż swojej żony". Krytyka filmowa nie miała kłopotów z zaklasyfikowaniem tego obrazu rodzimej produkcji zaliczając go do trzeciorzędnego gatunku. Telewizja widocznie odnalazła w nim specjalne wartości, o czym pragnęła przekonać swoich odbiorców. A może był to kolejny program z cyklu: „Robimy oszczędności w budżecie telewizyjnym"?*

*W drugim dniu świątecznego programu na pierwszy plan wysuwa się:*

*półtoragodzinna PRZERWA (od godz. 14.05 do godz. 15.43), prawdopodobnie obiadowa. Tylko komu była ona więcej potrzebna: telewidzom czy — telewizji?*

*Nie tak dawno krytyka telewizyjna zgodnym chórem okrzyknęła „Szkołę żon" Moliera za udane pod każdym względem widowisko. Refleks szybki: ponad godzinę telerecordingu. Tak, tak — koniec roku budżetowego, straty należy nadrabiać. Główka telewizyjna pracuje; i tak obejrzą, bo co telewidzowie będą mieli lepszego do roboty? W święta?*

*No i już o godzinie 21.30 — spać, drodzy telewidzowie. Telewizja w trosce o Wasze zdrowie zakończyła swój program.*

# ODGŁOSY tygodnia

## A wszystkiemu winna Łódź?

*Rok 1962 mamy już za sobą, niemniej musimy powrócić do pewnej wypowiedzi z grudnia, pozbawionej taktu i sensu, ale ogromnie charakterystycznej: Chodzi nam o jedną z audycji radiowych nadanych 19 grudnia 1962 roku przez Warszawską Rozgłośnię Polskiego Radia — ściślej mówiąc o magazyn filmowy „Kamera" redagowany przez p. Zalewskiego. Nie nasza to sprawa oceniać pracę wspomnianego pana redaktora. Ale to fakt, że od pewnego czasu magazyn „Kamera" nieciekawy i źle redagowany, stał się dziwną trybuną kilku panów z nieograniczoną nieodpowiedzialnością silących się na „obiektywną" krytykę, w w gruncie rzeczy przypinających na prawo i lewo złośliwe łatki. Ktoś kiedyś powiedział, że ludźmi złośliwymi mogą być tylko ludzie inteligentni. Nie zawsze — stwierdzamy ze smutkiem. Otóż z okazji zakończonego roku 1962 redaktorzy z magazynu „Kamera" ucięli sobie przed mikrofonem maleńką dyskusję na temat polskiej twórczości filmowej w roku ubiegłym.*

*Polacy, a podobno w szczególności mieszkańcy stolicy — według słów dyskutantów — są urodzonymi humorystami i dowcipnisiami. Po tym budującym stwierdzeniu padło retoryczne pytanie, dlaczego polskie filmy fabularne są takie ponure i nudne? I oto dyskutujący znaleźli od razu odpowiedź: „Wszystkiemu winna jest Łódź, miasto nudne, szare i prostackie miejsce zamieszkania większości (!) twórców filmowych." Nasuwa się pytanie czy panowie z „Kamery" mieszkają w Warszawie, czy w Łodzi. Jeżeli w Łodzi, to ich wypowiedzi świadczyłyby o wielkim poczuciu humoru. Ponieważ, o ile mi wiadomo, wzmiankowani panowie mieszkają w Warszawie, to stwierdzenie o super wielkim poczuciu humoru warszawiaków jest zwykłym samochwalstwem. Wracając do nudy i słabości naszej ostatniej produkcji filmowej, warto zauważyć i przypomnieć, że większość twórców filmowych mieszka w Warszawie, a siedziby wszystkich zespołów realizatorów filmowych znajdują się przy ul. Puławskiej 61. Jedna trzecia filmów fabularnych realizowana jest w atelier WFD przy ul. Chełmskiej 21. Swego czasu jeden z naszych czołowych filmowych luminarzy także darł szaty nad prostactwem i nudą Łodzi, realizuje jednak takie same „arcydzieła" po przeniesieniu się do wesołej Warszawy. Szkoda też, że odpowiedzialni za radiową „Kamerę" redaktorzy nie wiedzą, iż nagrodzony ostatnio na Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Tours film reż. Polańskiego „Ssaki" nie jest filmem wyprodukowanym przez Wytwórnię Filmów Dokumentalnych w Warszawie, lecz przez Studio Małych Form Filmowych „Semafor" w Łodzi. Okazuje się więc, że złośliwość bez odrobiny inteligencji prezentuje się żałośnie, podobnie jak i sceny zdradzające wprost idealną nieznajomość rzeczy.*

*ALEKSANDER NIESMIAŁEK*

## RAK

**Czyli inaczej choroba urzędów:** biurokratyzm — społeczna plaga, pochłaniająca coraz więcej ofiar, przeciwko której nie wynaleziono jeszcze żadnej uniwersalnej szczepionki. Chyba ze świeczką należałoby szukać takiego urzędu, który nie mógłby się poszczycić chociaż jednym, reprezentacyjnym okazem biurokraty. Biurokratyczny rak przyjmuje coraz bardziej różnorodne odmiany. Jest wszędzie. W biurach, w sklepach, na poczcie, ba! nawet w fabrykach i na budowach. Należy więc przypuszczać, że psycholodzy zajmą się już niedługo opracowaniem naukowej klasyfikacji typów biurokratycznych. Ciekawe, do jakiej kategorii odniosą następujące exemplum:

Zetemesowski ruch współzawodnictwa przyniósł w ciągu dwóch lat zakładom przemysłowym woj. łódzkiego wielomilionowe oszczędności. Jedna z jego form to młodzieżowe brygady walczące o tytuł BPS. Jest ich w tej chwili prawie 2 tysiące. Pierwszymi brygadami nie tylko w woj. łódzkim, lecz w ogóle w kraju, były brygady parowozowe w Karsznicach. Prawda, że taką inicjatywę należy szanować, a dzielną młodzież otaczać opieką? Ha, tak sobie możemy myśleć my; lecz nie władza Związków Zawodowych. Dopiero po dwóch latach nieustannych interwencji ZMS, regulaminy współzawodnictwa — prawna podstawa brygad — zostały u tych władz łaskawie zatwierdzone; natomiast wnioski o nadanie tytułu Brygady Pracy Socjalistycznej od trzech miesięcy spoczywają bezpieczne — tym razem dla urozmaicenia — w pewnym biurku pewnego pracownika Zarządu Okręgowego Kolejarzy w Gdańsku.

No, a potem mówi się: zrobiliśmy dla młodzieży wszystko, lecz nie zechciała skorzystać. — Nic dziwnego, że nie zechciała. Rak jest chorobą groźną i odstraszającą.

*Bohaterka filmu „Kraksa" Barbara Brylska — studentka Szkoły Teatralnej.*
*O filmie tym piszemy na str. 3*
*Fot. Marek Wachowski*

## NIE OPOWIADAJCIE BAJEK

Kilka lat temu wycięto drzewa po parzystej stronie Al. Kościuszki na odcinku od Zamenhofa do Mickiewicza. Ludzie narobili z tego powodu trochę wrzawy i odpowiednie czynniki dbające o zieleń w naszym mieście zmuszone zostały do opublikowania odpowiedniego wyjaśnienia. W gruncie rzeczy sprawa była jasna: poszerzano ulicę i drzewa należało wyciąć. Ale komunikaty urzędowe głosiły, iż drzewa wycięto z powodu ich starości. Ciekawe, że drzewa starzały się i chorowały po jednej tylko stronie ulicy.

Przypominam tę dykteryjkę, bo wydaje mi się ona bardzo charakterystyczna dla pewnych naszych praktyk. Podobnego chwytu użyto przy redagowaniu komunikatu o wprowadzeniu SAM-ów autobusowych. Wiadomo, jak te SAMy zostały przyjęte przez pasażerów. I jakich argumentów używano przy ich reklamowaniu. Zamiast prosto i wyraźnie powiedzieć, słuchajcie ludzie, musimy tak i tak postąpić, bo zmuszają nas takie i takie okoliczności, forsowano na siłę bajeczki o udogodnieniach dla pasażerów, i to jakich jeszcze. A przecież wystarczyło ogłosić, że nasze przedsiębiorstwa transportowe borykają się z różnymi kłopotami, że jedną z największych bolączek jest sprawa kadr, że w MPK w ciągu roku odpływ pracowników sięga 16 proc. całej załogi i że ta płynność kadr utrudnia prawidłowe prowadzenie polityki kadrowej, zmuszając przedsiębiorstwo do pracy w godzinach nadliczbowych itp., itp. Czyżby władze MPK uważały, że rzeczowa argumentacja nie przekona pasażerów?

W ubiegłym roku mówiono o dalszych innowacjach tego rodzaju, być może także na liniach tramwajowych. W związku z tym przytoczyliśmy te dwie historyjki, z bardzo wyraźnym, jak sądzimy, morałem.

## CO TO JEST MUP?

**Skrót brzmiący równie tajemniczo, jak i poważnie: M. U. P. oznacza po prostu: Młodzieżowy Uniwersytet Powszechny. Inaczej: polska wieś, szkoła wiejska, klasa zamiast auli, indeksy niepotrzebne, bo do MUP przychodzi się nie po stopień, nie po papierek, lecz po wiedzę dla samego siebie. Młodzieżowe Uniwersytety Powszechne zostały wprowadzone dwa lata temu przez Zarząd Wojewódzki ZMW, w porozumieniu z inspektoratami oświaty. Województwo łódzkie doczekało się na razie dziewięciu MUP, efektywnie działających, no i — bo gdzie dobra robota, tam dobre wyniki — osiągających poważne sukcesy dydaktyczne i pedagogiczne. Tematyka cyklicznych wykładów na MUP jest szeroka: od „Wybranych zagadnień z historii literatury polskiej", poprzez „Historię teatru" do „Mechanizacji rolnictwa". Dwa Młodzieżowe Uniwersytety Powszechne — w Kutnie i w Sokolnikach (pow. Wieruszów) specjalizują się w problematyce światopoglądowej. MUP w Dylowie (pow. Pajęczno) zajmuje się zagadnieniami z dziedziny higieny i medycyny. Niemałą też sensację wzbudził wśród miejscowych plotkarek cykl „O świadomym macierzyństwie", zaś wrzawę wywołały wykłady omawiające ustawę o przerywaniu ciąży. Jednak laicyzacja, tak jak „Pan Tadeusz" narodowego wiersza, trafia pod strzechy i mimo rewolucyjnych, wręcz „diabelskich" tematów, MUP w Dylowie nie stracił nic na swej popularności; przeciwnie — przybyło mu 50 nowych słuchaczek. Bo trzeba zaznaczyć, że przytłaczający procent uczestników Młodzieżowych Uniwersytetów Powszechnych stanowią kobiety. Jednym słowem: dziewczęta górą!**

**A na marginesie — maleńka uwaga: dlaczego tylko jest 9 MUP? Wydaje się nam, że możliwości ZMW są większe. Powinno być przynajmniej po jednym MUP w każdym powiecie.**

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17
Zam. 3603 XII. 62. K 4

## CZŁOWIEK NIE JEST Z DRZEWA

**Za dawnych czasów kiedy Łódź była jeszcze miastem powiatowym, a przemysł łódzki przechodził swe złote lata — prosperity, a bojki, barchany, flanele, kreasy i szyryngi — made in Lodz — na skutek zniesienia ceł, szły masowo na rynki rosyjskie, propagatorami tych wyrobów włókienniczych łódzkiej metropolii byli komiwojażerowie. Oni to z kolekcjami próbek dojeżdżali do najdalszych zakątków carskiej Rosji i tam zbywali znakomitą część produkcji łódzkiej.**

**Słowem, w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku powstał typ nowego pracownika — komiwojażera przy każdym większym zakładzie pracy. Zaś wielkie towarzystwa akcyjne jak Scheibler, Grohman, Poznański itd. utrzymywali nawet po kilkudziesięciu pracowników w charakterze komiwojażerów, popularnie zwanych w Łodzi rajzenderami. Taki komiwojażer otrzymywał stałą miesięczną pensję. Poza tym zwracano mu wszystkie wydatki, związane z podróżą. Jasne, że każdy komiwojażer starał się wykazać jak najwięcej pozycji...**

**Znalazł się nawet jeden w firmie I. K. Poznański, który w swych zestawieniach oprócz normalnych wydatków związanych z podróżą, wstawiał pozycję codziennie przez miesiąc pod nazwą — człowiek nie jest z drzewa" — rubli dziesięć, z czego w ciągu 30 dni zebrała się poważna kwota rubli 300. Kontrolujący wydatki komiwojażerów główny buchalter IKP — w rozmowie z prezesem Hertzem omówił tę oryginalną pozycję. A na to prezes Hertz, znany zresztą ze skąpstwa zauważył:**

**...Istotnie, człowiek nie jest z drzewa.... ale raz na miesiąc ... niech mu pan skreśli 290 rubli i wyjaśni, że człowiek nie jest też z żelaza!**

## JAK KOCHAĆ DZIECI?

Wprawdzie nie boimy się już, że nas dzieci zjedzą, spędzą nam jednak sen z oczu troska o ich wychowanie. Dzieci muszą chodzić do szkół, szkoły trzeba bez przerwy budować. Państwo nie zmniejszyło wydatków na szkoły, przeciwnie, mimo trudności — zwiększyło. Brawo nasze państwo! Ale budowniczym i tym, którzy za budownictwo odpowiadają, brawa bić nie możemy.

W latach 1961—65 powinny zbudować rady narodowe 26.667 izb lekcyjnych. Sądząc po ślimacznym tempie trudno będzie plan wykonać. W roku 1961 nie zbudowano 865 izb. Rok 1962 okazał się jeszcze gorszy. Do końca października 1962 wykonano zaledwie 67,5 proc. planu rocznego. Ale przecież szereg województw i miast wydzielonych nie osiągnęło nawet przeciętnej. Z prawdziwą przykrością piszemy, że na szarym końcu wlecze się Łódź, gdzie w ciągu 10 miesięcy wykonano tylko 56,3 procent rocznego planu budowy szkół.

Niech nas nie pociesza fakt, że miasto stołeczne Warszawa także kiepsko stoi — 57,8 proc. wykonania planu u schyłku ub. roku, Kraków — 66 proc. Ładnie kochamy dzieci, prawda?

Nie będziemy wyliczać łódzkich szkół, które powinny być w tym roku oddane do użytku, a które ledwie zostały napoczęte. Znalazłoby się kilkanaście takich smutnych przypadków świadczących o tym, że łatwiej spłodzić dziecko niż zapewnić mu odpowiednie warunki rozwoju.

Mamy nadzieję, że po ostatnich konferencjach, które odbyły się w KŁ PZPR i Radzie Narodowej, sytuacja ulegnie poprawie. Budowniczowie uznają, że szkoły to nasze oczko w głowie i zakasują rękawy, a ojcowie i matki opamiętają się trochę, co daj Boże, amen.